

Pytania 20-lecia. 1989–2009

seria:

DEBATY
FUNDACJI
BATOREGO



pod redakcją **Piotra Kosiewskiego**

Materiały z konferencji Fundacji im. Stefana Batorego
zorganizowanej w dwudziestą rocznicę jej powstania



FUNDACJA
IM. STEFANA
BATOREGO



Pytania 20-lecia. 1989–2009

János Kis
Iwan Krastew
Adam Michnik
Jacques Rupnik
Aleksander Smolar



Fundacja im. Stefana Batorego

ul. Sapieżyńska 10a
00-215 Warszawa
tel. |48 22| 536 02 00
fax |48 22| 536 02 20
batory@batory.org.pl
www.batory.org.pl

Opracowanie redakcyjne:

Izabella **Sariusz-Skąpska**

Korekta:

Joanna **Licznier**

Fotografie:

Piotr **Kosiewski**

Opieka artystyczna nad publikacjami Fundacji im. Stefana Batorego:

Marta **Kusztra**

Projekt graficzny:

Teresa **Oleszczuk**

© Copyright by Fundacja im. Stefana Batorego

Skład elektroniczny:

TYRSA Sp. z o.o.

Druk:

„Efekt”

ISBN 978-83-62338-00-9

Publikacja jest rozpowszechniana bezpłatnie

Warszawa 2010

Spis treści

Aleksander Smolar, Kilka słów wprowadzenia	7
Część 1	
O ciągłości i zerwaniu – o modelach przejścia do demokracji i ich konsekwencjach (János Kis, Iwan Krastew, Adam Michnik, Jacques Rupnik, Aleksander Smolar)	11
Część 2	
O formowaniu się nowej mapy politycznej (János Kis, Iwan Krastew, Adam Michnik, Jacques Rupnik)	31
Część 3	
O zagrożeniach posttransformacyjnych (János Kis, Iwan Krastew, Adam Michnik, Jacques Rupnik, Aleksander Smolar)	47
Część 4	
O tym, gdzie jesteśmy i kim jesteśmy (Iwan Krastew, Adam Michnik, Jacques Rupnik, Aleksander Smolar)	63
Część 5	
O tym, na ile się zmieniliśmy (János Kis)	77
Komentarze i uwagi (Stanisław Ciosek, Agnieszka Grzybek, Agnieszka Holland, Zbigniew Petczyński, Janusz Reykowski, Andrzej Walicki)	83
Noty biograficzne	97
Indeks	103

Aleksander Smolar Kilka słów wprowadzenia

Z okazji dwudziestej rocznicy przemian zapoczątkowanych w 1989 roku ukazało się w Polsce i w innych krajach wiele artykułów, odbyło się mnóstwo konferencji, debat i seminariów. Rozległy temat przemian ostatnich dwudziestu lat nie został, oczywiście, w żaden sposób wyczerpany. Szukaliśmy jednak formuły, która by pozwoliła zaproponować inne niż zazwyczaj podejście do tych spraw.



Wybraliśmy dość niecodzienną formułę spotkania: zaprosiliśmy kilku przyjaciół z naszej części Europy bądź z nią silnie związanych. Byli oni ważnymi aktorami wydarzeń ostatnich dwudziestu lat w swoich krajach, ale także wiele o nich pisali. Można powiedzieć, że należeli zarazem do strategów i analityków przemian zachodzących w postkomunistycznej Europie. **János Kis**, filozof, profesor na Uniwersytecie Środkoeuropejskim w Budapeszcie, należał do bardzo wąskiej grupy przywódców i strategów opozycji demokratycznej. Do dziś zabiera głos w ważnych sprawach publicznych Węgier, ale wkrótce po przemianach 1989 roku wycofał się z aktywnej polityki. **Iwan Krastew** jest jednym z najwybitniejszych obecnie w Europie analityków politycznych, specjalistów od stosunków międzynarodowych, kieruje w Sofii Centrum na rzecz Strategii Liberalnych. **Jacques Rupnik** wywodzi się z nieistniejącej już Czechosłowacji. Jest profesorem w paryskim Instytucie Studiów Politycznych i wybitnym znawcą Europy Środkowej i Bałkan; przez wiele lat był bliskim doradcą prezydenta Václava Havla. **Adama Michnika** ani też siebie przedstawiać nie będę.

Inna specyficzna cecha wybranej formuły debaty to nieograniczanie się do wydarzeń sprzed lat dwudziestu, do rozważań czysto rocznicowych. Było rzeczą naturalną, że dwadzieścia lat później centralnym punktem wspomnień, debat i refleksji są wydarzenia roku 1989, ich bezpośrednie przyczyny i skutki. Natomiast w małym stopniu okazała się ta postużyła do oceny całego dwudziestolecia, którego 1989 rok był początkiem. Postanowiliśmy więc, aby w naszych dyskusjach podjąć tematy, które nie należą jeszcze do zamkniętej historii, do dziś są ważne, do dziś organizują – często w sposób konfliktowy – zbiorową pamięć i społeczną wyobraźnię.

Wyodrębniliśmy zatem cztery grupy tematyczne i naszą rozmowę podzieliliśmy na cztery części:

- ciągłość i zerwanie; o modelach przejścia do demokracji i ich konsekwencjach;
- formowanie się mapy politycznej po 1989 roku, przemiany sił demokratycznych i postautorytarnych, ich wpływ na nowe demokracje; miejsce i rola „dekomunizacji” i „lustracji”;

– zagrożenia posttransformacyjne: osłabienie woli reform, reakcje nacjonalistyczne i populistyczne;

– gdzie jesteśmy i kim jesteśmy; zmiana spojrzenia na stosunki międzynarodowe, relacje z Unią Europejską i ze Stanami Zjednoczonymi. Na ile nasze kraje zmodernizowały się? Czy na trwałe przycumowaliśmy do zachodniej metropolii? Czy obecne tendencje globalne i kryzys nie grożą nową marginalizacją naszego regionu? Czy *Entropa*, dzieło Davida Černý'ego – przedstawiające w karykaturze wszystkie państwa Unii – było jedynie żartem otwierającym w Brukseli czeską prezydencję czy też metaforą schyłku Unii? Czy mamy swój udział w tym procesie i jakich udzielamy nań odpowiedzi?

Każdy z uczestników dyskusji otwierał jedną z sesji i następnie kierował debatą, która po tym następowała. Sformułowane cztery tematy są bardzo obszerne. Mogliśmy tylko zarysować nasze poglądy i oceny. Z nadzieją, że udało nam się uniknąć rocznicowej formuły i dotknąć paru ważnych spraw.

Część 1

O ciągłości i zerwaniu – o modelach przejścia do demokracji i ich konsekwencjach

Adam Michnik

Należałem do tych, którzy byli zdania, że zadaniem opozycji solidarnościowej – zepchniętej w podziemie i skazanej na nielegalność – jest rozwiązanie swoistej kwadratury koła. Żyliśmy w przeświadczeniu, że nie ma szansy na zwycięskie powstanie czy powodzenie antysowieckiej rewolucji. Jednocześnie byliśmy przekonani, iż nie uda się od wewnątrz zreformować systemu komunistycznego. Nie można było także liczyć na to, że ewolucja systemu doprowadzi do przekształcenia go w pluralistyczną demokrację. W tej sytuacji konieczne było – w naszym przekonaniu – tworzenie stałego, systematycznego nacisku na władzę oraz organizowanie przestrzeni publicznej w sposób pozwalający na zagospodarowanie możliwych obszarów wolności.

W 1976 roku różne osoby – Jacek Kuroń, Antoni Macierewicz, wcześniej Leszek Kołakowski – zaczęły głośno formułować myśli o potrzebie stworzenia stałego nacisku na władzę. Z tego przekonania zrodził się Komitet Obrony Robotników (KOR). Tworząc



go, przyjęliśmy trzy założenia. Po pierwsze, że należy odrzucić przemoc. Nawet jeżeli sami staniemy się jej ofiarami, to nie wolno nam odpowiadać przemocą na represje systemu. Po drugie, że nacisk na obóz władzy będzie prowadził do jego podziałów. I po trzecie wreszcie, że w obrębie władzy będą powstawały rozmaite koncepcje odpowiedzi na nasz nacisk. Opozycja zatem powinna przygotować się na to, co nazywam filozofią negocjacji, a nie konfrontacji.

Ten problem ostro pojawił się w 1989 roku. Do chwili wyborów kontraktowych do Sejmu i w pełni demokratycznych do Senatu 4 czerwca w środowiskach głównego nurtu opozycji nikt nie myślał o innej drodze niż negocjacje. Do tego dnia nikt – mam na myśli ten krąg – nie brał na serio możliwości przejęcia władzy. Dlaczego? Niektórzy z nas sądzili, że polityka Michaiła Gorbaczowa otwiera nową przestrzeń. Co ciekawe, w Polsce osób podzielających taki pogląd było bardzo mało. Pamiętam spory i kłótnie z moimi przyjaciółmi z kierownictwa „Solidarności”, ale także z emigracji. Uważali oni, że *pierestrojka* to kolejna maskarada urządzana w celu otumanienia Zachodu. Ten sposób myślenia oznaczał abstrahowanie od zmian zachodzących w Moskwie i od ich wpływu na strategię polskiej opozycji. Patrząc z dzisiejszej perspektywy, można ocenić, że to właśnie działania Gorbaczowa miały fundamentalne znaczenie dla wydarzeń w 1989 roku. To one tworzyły przestrzeń do zmian, chociaż ich kształt nie został przesądzony w Moskwie. Dlatego też zmiany wyglądały inaczej w każdym z naszych krajów: inaczej na Węgrzech, w Bułgarii czy w Czechosłowacji, inaczej w Polsce i – skrajnie różnie – w Rumunii.

W 1989 roku idea pełnego zerwania z przeszłością była pomysłem abstrakcyjnym. Ale – dla tej części opozycji, do której sam należałem – to był również projekt bardzo niebezpieczny. Na własny użytek określiłem go „antykommunizmem z bolszewicką twarzą”. Wprowadzenie go w życie *de facto* oznaczało eliminowanie określonej kategorii obywateli w imię przekonania, że my, antykommuniści, jesteśmy nosicielami prawdy absolutnej i podstawowych wartości. Takie przekonanie godziło w sam rdzeń kultury

projektu demokratycznego. Skąd to przekonanie? Już wtedy uważałem, że powinniśmy w Polsce uważnie czytać *Rozważania o rewolucji we Francji* Edmunda Burke'a – krytykę francuskich wydarzeń podjętą przez brytyjskiego liberalnego konserwatystę. Do tej pory nie przyswoiliśmy sobie jego myśli. Dla mnie ważne było także doświadczenie Hiszpanii, jej projekt pokojowego demontażu dyktatury bez rewanzu, odwetu, tylko drogą rekoncylacji.

Wydarzenia na Półwyspie Iberyjskim wręcz wymuszały redefinicję sposobu myślenia o rozwiązywaniu konfliktu. W pierwszej fazie polskich przemian podział społeczeństwa przebiegał według linii: jesteś za czy przeciw komunistycznej dyktaturze. Sytuacja zmieniła się po powstaniu rządu Tadeusza Mazowieckiego. Istotny przestał być spór o stosunek do dyktatury (co najwyżej dotyczył on oceny przeszłości, również tej dyktatorskiej), lecz pojawiły się: problem kształtu transformacji zaproponowanej przez Leszka Balcerowicza, kwestia Wspólnoty Europejskiej i Paktu Atlantyckiego, pytania o miejsce Kościoła katolickiego w państwie demokratycznym, o stosunek do sąsiadów oraz do mniejszości narodowych, wreszcie kwestia idei dekomunizacji i lustracji. Opowiadający się za zerwaniem (w Polsce mówiło się o „przyspieszeniu”) i nowym początkiem optowali za polityką, którą nazywałem „jakobińską” czy też „jaskiniowego antykomunizmu”. Dla mnie natomiast wartością była właśnie ciągłość, zwłaszcza w sytuacji wielkiej zmiany.

Powinienem wyjaśnić powody mojego wyboru. Po pierwsze, element konserwatywny jest, moim zdaniem, nieusuwalnym składnikiem zmieniającej się rzeczywistości. Ostre zerwanie stwarza ryzyko głębokiej destabilizacji społecznej, chaosu, czyli – jak to wówczas określił Tadeusz Mazowiecki – polskiego piekła. Po drugie, o czym dziś nie chcemy pamiętać, a w 1989 roku to było oczywistością, środowiska opozycyjne nie miały kadr przygotowanych do fachowego zarządzania sektorem bankowym czy wielkimi zakładami pracy. Pomysł, by dzielni, uczciwi, odważni ludzie wywodzący się z solidarnościowego podziemia nagle stanęli na czele instytucji wymagających doświadczenia i przygotowania merytorycznego, przypominał bolszewicką praktykę z 1944 czy 1945 roku. Wówczas wystarczała „chęć szczerą” i można było zostać oficerem czy sędzią. Po 1989 roku niektórzy próbowali działać

podobnie, uważając np., że dzielny opozycjonista i dobry katolik świetnie poradzi sobie na stanowisku prezesa banku centralnego.

Po trzecie, nie można zapominać o obecności w Polsce wojsk sowieckich. Abstrahowanie od tego czynnika dla każdej osoby znającej historię Polski i naszego regionu było skrajną nieodpowiedzialnością i brakiem wyobraźni. Wreszcie, po czwarte, dla zachodnich rządów podstawowym pytaniem było, czy zachodząca zmiana pozwoli zachować stabilność w Polsce i w regionie, czy też może grozić stabilności całej sceny europejskiej. Bardzo ciekawa jest dziś lektura stenogramów rozmów ówczesnych głównych szefów rządów. Ani Helmut Kohl, ani François Mitterand, ani Margaret Thatcher nie marzyli o powywieszaniu komunistów na warszawskim placu Defilad, lecz o spokoju i stabilności w Polsce.

Na koniec chciałbym postawić dwa pytania, na które sam nie mogę udzielić odpowiedzi. Pierwsze: jak wydarzenia 1989 roku wyglądały z perspektywy osób obozu władzy? Obserwatorowi z zewnątrz nie jest łatwo zrekonstruować ich sposób oglądu ówczesnych spraw, tym bardziej że co innego mówili oni między sobą, a inaczej uzasadniali swoje postępowanie na zewnątrz. Pamiętam wypowiedź Ireneusza Sekuły, jednego z liderów tego środowiska, który po wyborach 4 czerwca mówił, że nie wolno pozwolić „Solidarności” na tworzenie rządu, bo skutki tego działania będą nieobliczalne. Jednocześnie dysponujemy zapisami wypowiedzi gen. Wojciecha Jaruzelskiego i Mieczysława Rakowskiego, od lipca 1989 roku pierwszego sekretarza PZPR, którzy w następujący sposób wyjaśniali towarzyszym z bratnich partii swoją strategię: za chwilę wybuchną strajki przeciwko „Solidarności”. Robotnicy nie uniosą ciężaru przeprowadzanych reform i będziemy mogli występować w ich obronie.

Drugie moje pytanie: dlaczego w Polsce – po upływie dwudziestu lat – silnie reprezentowany jest pogląd, że wydarzenia 1989 roku były nie-szczęściem, zdradą narodową, „Targowicą”? Dlaczego tak chętnie mówi się o porozumieniu „różowych” z „czerwonymi”, przy czym ci pierwsi dostali władzę polityczną w zamian za oddanie drugim władzy nad gospodarką (jak wiadomo, w PRL-u gospodarką rządziły liliputy, a nie komuniści)?

Do tych dwóch pytań dodałbym trzecie. Węgry były pierwszym krajem, który symbolicznie zniszczył granice z drutu kolczastego między Europą Zachodnią a Europą postjattańską. W tym kraju dynamika zmian była większa niż w Polsce. Jak z węgierskiej perspektywy wyglądają zmiany 1989 roku? Które z ówczesnych prognoz i intuicji okazały się trafne, a które nie? Bo według mnie intuicje części opozycji skupionej wokół Lecha Wałęsy – podam jedynie nazwiska Tadeusza Mazowieckiego, Bronisława Geremka i Jacka Kuronia – intuicje, które podzielałem – były, powiem może megalomańsko, w pełni trafne.

János Kis

Na początek cofnę się do lat wcześniejszych. Po 1968 roku należałem do tych przedstawicieli pokolenia młodych opozycjonistów, którzy zostali porażeni okupacją Czechosłowacji oraz reakcją na te wydarzenia w całym naszym regionie. Przez lata byłem przekonany, że nic nie można zrobić. Niemożliwa jest rewolucja, niemożliwe są reformy. Pod koniec 1976 roku przeczytałem wykład wygłoszony w Paryżu przez Adama Michnika w rocznicę rewolucji węgierskiej 1956 roku. To była propozycja nowego ewolucjonizmu. Ten tekst otworzył przede mną nowe perspektywy. Od tego momentu swój czas dzieliłem na „przed Adamem” i „po Adamie”. Wszyscy, którzy na Węgrzech uczestniczyli w tworzeniu opozycji demokratycznej, byli pod wpływem naszych polskich przyjaciół: Jacka Kuronia, Adama i innych. Staraliśmy się też naśladować polskich opozycjonistów w skromniejszej skali i uwzględniając specyfikę naszego kraju. W 1989 roku okazało się, że drugi szereg (a my na Węgrzech byliśmy właśnie w takiej sytuacji) może w procesie zmian zajmować lepszą pozycję niż polska awangarda.



Dlaczego tak się stało? Posiadaliśmy dwa atuty. Po pierwsze, ówczesna opozycja węgierska składała się nie

tylko z opozycji demokratycznej, ale też z innych nurtów, które wcześniej w ogóle nie chciały definiować się jako „opozycja”. Nurty te potęczyły się, tworząc Forum Demokratyczne. Byliśmy słabsi niż opozycja w Polsce. Nie mieliśmy podobnego zjawiska jak ruch „Solidarności”, nie cieszyliśmy się szerokim, oddolnym poparciem społecznym. Nie mieliśmy również przywódców porównywalnych z Lechem Wałęsą, którzy po zakończeniu negocjacji i po podpisaniu porozumień mogliby wyjść do ludzi i powiedzieć – uwierzcie, znacie nas, na dzień dzisiejszy tyle można było wywalczyć. Żaden przedstawiciel opozycji węgierskiej nie miał takiego kapitału wiarygodności. Dlatego też od początku musieliśmy podnieść stawkę. Nie było możliwości dojścia do kompromisu w kształcie wypracowanym w Polsce.

Porozumienie podpisane w Warszawie było podstawą, wzorcem, wyznaczało najniższy możliwy poziom oczekiwań. To był nasz drugi atut. Mniej już nie można było żądać, o czym wiedzieli także komuniści. Mogliśmy wynegocjować tylko lepsze rozwiązania. Poczucie braku silnej legitymizacji oraz kształt porozumień w Polsce sprawiły, że negocjacje na Węgrzech rozpoczęły się od wspólnej deklaracji, w której obie strony zgodziły się, że powinniśmy wprowadzić wielopartyjną demokrację parlamentarną. Następnie rozmowy dotyczyły szczegółów, istotnych wprawdzie, ale jednak szczegółów.

Wreszcie jeszcze jedna uwaga. Stosunek do obrad „okrągłego stołu” na Węgrzech różni się od sytuacji w Polsce. Stało się tak, ponieważ inaczej zostały rozpisane role. W Polsce – proszę mnie poprawić, jeśli się mylę – negocjatorzy rekrutowali się przede wszystkim z tej części „Solidarności”, która potem przerodziła się w Unię Demokratyczną, a następnie w Unię Wolności. Było to skrzydło lewicowe, a może lepiej powiedzieć: liberalno-lewicowe.

Adam Michnik

Jarosław i Lech Kaczyńscy także brali udział w negocjacjach!

János Kis

Jednak chyba poprawnie opisuję podstawową tożsamość grupy negocjatorów. Nie to jest jednak najważniejsze. Na Węgrzech po stronie opozycji występowało wiele osobnych grup. Dwie główne z nich to MDF – Węgierskie Forum Demokratyczne, z którego później powstała główna partia prawicowa, oraz SzDSz – Związek Wolnych Demokratów. Drugie z tych ugrupowań wierzyło, że w rozmowach uda się więcej osiągnąć. Ostatecznie pod koniec obrad doszło do rozłamu. Wolni Demokraci nie chcieli podpisać porozumienia, ale też nie zgłosili weta. Dokument założycielski „okrągłego stołu” opozycji dawał taką możliwość wszystkim uczestnikom opozycji, ale powstrzymywaliśmy się od używania weta. Raczej pozwoliliśmy, aby porozumienie było podpisane przez MDF i jego sprzymierzeńców, oraz mogliśmy zainicjować referendum w sprawie jego poprawek. To wszystko sprawiło, iż trudno o sytuacji na Węgrzech powiedzieć, że zawarto porozumienie między czerwonymi a różowymi, czy mówić o jakimś układzie elit (co ogłoszono w Polsce).

Odbyło się zatem referendum. Jednak wraz z upływem czasu prawica była coraz bardziej rozczarowana swoją rolą w zawartym porozumieniu. Ponieważ już w 1990 roku doszła do władzy, to stanęła wobec problemu rozliczenia przeszłości oraz konieczności rozstrzygnięcia, co zrobić z byłymi komunistami. Przyjęła w tych kwestiach radykalne stanowisko, a pamiętając o swoim udziale w negocjacjach, próbowała wyeliminować „okrągły stół” z historii politycznej Węgier i głównym punktem przemian uczynić inną datę. Dziesięć lat temu podczas konferencji w Wiedniu Viktor Orbán stwierdził, że przełomowym punktem był rok 1990, a nie 1989. Miał na myśli wybory parlamentarne. Można przyznać mu rację. Wybory obaliły komunizm, ale pozostaje pytanie o to, co umożliwiło ich przeprowadzenie. Na tak postawione pytanie Orbán już nie ma odpowiedzi.

Adam Michnik

A jak wyglądały przemiany 1989 roku z perspektywy bułgarskiej? Spoglądaliście na Węgry, na Rosję, na Polskę. Już było widać rysy na Niemieckiej

Republice Demokratycznej. W Bułgarii dokonywał się wówczas podwójny proces. Powstały instytucje społeczeństwa obywatelskiego, jak Niezależna Federacja Pracy „Podkrepa”, równocześnie doszło do pęknięcia w partii komunistycznej. W najwyższym kierownictwie konstituowała się frakcja, która w porozumieniu z Gorbaczowem chciała dokonać wewnętrznego zamachu stanu i odsunąć od władzy czy wręcz unicestwić Todora Żiwkowa.

Iwan Krastew

Przytoczę sowiecki dowcip. W roku 1917 roku, po zajęciu Pałacu Zimowego, do Lenina przyszedł żołnierz i pyta: co będzie za dwadzieścia lat, towarzyszu? Lenin pomyślał przez chwilę i odpowiedział: rok 1937. Zgodnie z tym starym dowcipem dwudzieste rocznice są nierozzerwalnie związane z rewizjonizmem. Sam wierzę w logikę rocznic. Dziesiąta – zawsze związana jest z okrzepnięciem, konsolidacją, tworzeniem mitu; dwudziesta – z jego rewizją. Bułgaria jest ciekawym przypadkiem. 1989 rok nie zdarzył się w Bułgarii, lecz jej się przytrafił. Polityczne otwarcie systemu było zgodne z logiką sowieckiej *perestrojki*, a nie było wyznaczane przez działania opozycji. Do tego stopnia dominowała perspektywa ZSRR, że pierwszą widoczną opozycją była grupa popierająca Michaiła Gorbaczowa!

Jednocześnie na przykładzie Bułgarii dobrze widać, jak szybko może się zmienić dynamika procesu politycznego.

Wystarczyło sześć miesięcy! Jednak zanim przejdę do wydarzeń sprzed dwudziestu lat, muszę zwrócić uwagę na podstawową różnicę między moim krajem a Polską czy Węgrami. Bułgarski nacjonalizm tradycyjnie był antyturecki i prorosyjski. Z tego też powodu nie mógł być dla opozycji podstawowym argumentem. Nie można było wykorzystywać resentymentów antyrosyjskich do mobilizacji. Nie było też w Bułgarii



wojsk rosyjskich. Nie można również zapominać, że w latach 1984–1989 bułgarskie władze komunistyczne rozpętały poważne represje wobec tutejszych Turków. W efekcie tych działań pojawiły się lęk przed Turcją i przekonanie, iż z jej strony może nadejść silna reakcja. Dlatego też polskie czy węgierskie wydarzenia nie miały dla Bułgarii tak wielkiego znaczenia. Istotniejsze stało się to, że Gorbaczow uznał, iż Todor Żiwkow traci swoją legitymację do sprawowania władzy. Drugim istotnym faktem były wydarzenia rumuńskie. One to popchnęły społeczeństwo bułgarskie do myślenia w kategoriach wschodnioeuropejskich, a nie sowieckich.

Rumuńska rewolucja przeraziła komunistyczne elity Bułgarii – po raz pierwszy zobaczyły ludzi na ulicy. Nie wiedziały, jak odnaleźć się w takiej sytuacji. Bardzo ciekawe byłoby zrekonstruowanie ówczesnych obaw różnych grup. Bez tej wiedzy trudno wyjaśnić zjawisko 1989 roku. Były obawy opozycji, były pamięć o 1968 roku i lęki z tym związane, była wreszcie pamięć o 1956 roku. Jednak dla komunistów najważniejszym problemem stało się powstanie prawomocnej opozycji. Była ona konieczna w sytuacji, gdy zaczęły się demonstracje uliczne. Jednocześnie zaczęły się radykalne zmiany.

Podam jeden przykład. Pierwsze niezależne badanie opinii publicznej w Bułgarii przeprowadzono w lutym 1990 roku. Zadano m.in. pytanie: „Czy jesteś gotów poświęcić życie za socjalizm?”. 70 procent respondentów powiedziało „tak”. Z kolei na pytanie: „Komu najbardziej ufasz z polityków bułgarskich?” większość odpowiedziała: gen. Dobriemu Dobriczowi, ministrowi obrony, 70-letniemu komuniście, znanemu z tego, że nie jest skorumpowany i brał udział w pozbawieniu władzy Żiwkova. Sześć miesięcy później udzielano już odmiennych odpowiedzi. Wszystko zmieniło się nie do poznania.

W marcu 1990 roku nastąpił przełom podczas rozmów „okrągłego stołu” (trwały od 16 stycznia). Zaczęliśmy naśladować Polskę, a nie Związek Radziecki. Zaprosiliśmy doradców uczestniczących w polskich rozmowach „okrągłego stołu”. Oczywiście istniały różnice, ale też podobieństwa. Jeżeli w Bułgarii doszło do *consensusu*, to tylko dlatego, że komunistyczni reformatorzy zdecydowali się uformować opozycję.

W Polsce istniała opozycja posiadająca legitymizację społeczną, a tym samym możliwa była dyskusja o kompromisie. W Bułgarii Żelju Żelew oraz dwóch–trzech innych ludzi ze Związku Sił Demokratycznych stali się symbolem zmian, ale nie stanowili silnej grupy. Opozycję reprezentowały osoby pochodzące przede wszystkim z Sofii, pracujące w instytucjach kulturalnych. Nie było w tym gronie robotników, rolników czy reprezentantów emigracji politycznej. Zatem w przypadku Bułgarii ważniejszym problemem był brak legitymizacji opozycji niż zawarty kompromis.

Ostatnia moja uwaga dotyczy lustracji i dekomunizacji. Jeśli przeczytamy pierwsze dokumenty poświęcone dekomunizacji w Czechach czy w Bułgarii, to widzimy różne rodzaje podejścia do komunizmu. W czeskim dokumencie była specjalna klauzula, iż wszyscy, którzy mieli za sobą co najmniej sześć miesięcy studiów w Związku Radzieckim, powinni zostać zlustrowani. Dla nich reżim komunistyczny to była okupacja, zatem osoby o takiej przeszłości były postrzegane jako kolaboranci. W przypadku Bułgarii przyjęto inną definicję komunizmu i zaangażowania, niezaktadającą tak rygorystycznego podejścia. To właśnie spowodowało, że tak wiele stanowisk zostało objętych przez przedstawicieli byłej nomenklatury. Również z tego powodu, a także z innych, o których już mówiłem, rok 1989 nie jest w Bułgarii celebrowany. Nie ma bowiem grupy, która wierzyłaby, że posiada legitymizację pozwalającą odwoływać się do tych wydarzeń. W pewnym sensie rok 1989 nie istnieje w historii politycznej Bułgarii.

Adam Michnik

Jacques Rupnik i Aleksander Smolar z podwójnej perspektywy spoglądali na wydarzenia 1989 roku. Obydwaj spoglądali na nie z Paryża, a jednocześnie byli zaangażowani w wydarzenia dziejące się – odpowiednio – w Czechosłowacji i Polsce. Aleksander Smolar był głęboko zaangażowany we wszystkie polskie debaty tamtego czasu jako redaktor naczelny kwartalnika „Aneks” i bliski współpracownik polskiego podziemia. Jacques Rupnik blisko związał się ze środowiskiem Karty 77. Jak – mając takie doświadczenie – ocenialiście wydarzenia 1989 roku? Zaczęłbym od Aleksandra Smolara. W którym

momencie zobaczyłeś, że zachodzą poważnie zmiany, a nie jakaś kolejna „odwilż”?

Aleksander Smolar

Rzeczywiście byłem mocno związany z Polską. Wydarzenia w kraju poznawałem nie tylko z zachodniej prasy czy telewizji, ale przede wszystkim dzięki rozmowom telefonicznym z czołową polską opozycją i częstym kontaktom z ludźmi przyjeżdżającymi z kraju. Można było powiedzieć, że nie istniała jakaś poważna różnica między oglądem ówczesnych spraw z Warszawy i z Paryża. A jednak sytuacja emigranta radykalizuje osąd. Im dalej się znajduje od obserwowanego obiektu, tym widzi się w ostrzejszych kolorach. Byłem zatem entuzjastą „okrągłego stołu”, ale równocześnie pozostawałem dość krytyczny co do niektórych postanowień wynegocjowanych przez stronę solidarnościową. Pamiętam rozmowę z Tobą w Paryżu, kiedy przytoczyłem słowa Jerzego Osiatyńskiego, że na ołtarzu polityki złożyliśmy ofiarę z ekonomii. Uważałem, że to, co wymusiła strona solidarnościowa, stanowiło – biorąc pod uwagę ówczesną sytuację gospodarczą – zagrożenie dla Polski. Pamiętam też, że ta nasza rozmowa była dość dramatyczna.

Oczywiście później – szczęśliwie – nowa ekipa objęła władzę i innym językiem zaczęła mówić o gospodarce. Nie o tym jednak chciałbym mówić.



Byłem wówczas wewnątrz rozdarti. Solidaryzowałem się z moimi przyjaciółmi: Adamem Michnikiem, Jackiem Kuroniem, Bronisławem Geremkiem, Tadeuszem Mazowieckim – nie tylko ze względów osobistych. Jednocześnie moja analiza sytuacji była często bliższa radykałom. Miałem poczucie pewnego tragizmu historii. Zresztą wielu wybitnych politologów i socjologów zachodnich przedstawiało w tym czasie bardzo pesymistyczną wizję

transformacji w naszych krajach. Podkreślali oni, iż między logiką transformacji politycznej a logiką transformacji gospodarczej istnieje nieuchronna sprzeczność, która musi prowadzić do załamania modelu demokratycznego, do jego „latynoamerykanizacji”. Dlaczego? Demokracja daje szansę organizowania się wielkim grupom społecznym, które jednocześnie nieuchronnie muszą ponosić wysoką cenę transformacji gospodarczej. Zasadą demokracji politycznej jest równość. Wszyscy mają prawo głosu i prawo zorganizowania się w celu obrony swoich interesów. Zasada gospodarki rynkowej nieuchronnie prowadzi do zróżnicowań społecznych, do bezrobocia itd. Innymi słowy, uważałem, że musi dojść do zderzenia obu tych zasad. W tej sytuacji konieczne jest szybkie ukazanie sensu przemian poprzez przyspieszenie przemian politycznych. Od początku byłem też zwolennikiem publicznego postawienia problemu moralnej i politycznej odpowiedzialności za rządy PRL-u. Ten ruch nie musiał wiązać się z jakąś dyskryminacją, ale uważałem, że trzeba było postawić wyraźną linię moralną między dobrem a złem. Ten pogląd był jedną z przyczyn konfliktów między nami.

Dodam jeszcze, że byłem głęboko przekonany, iż powinno się doprowadzić do jak najszybszych, w pełni demokratycznych wyborów powszechnych, co pozwoliłoby na relegitymizację niestłuchanie dramatycznych przemian gospodarczych. Równocześnie nigdy wówczas publicznie nie wypowiadałem tych opinii, bo byłem, jako doradca Tadeusza Mazowieckiego, lojalnym i solidarnym żołnierzem „armii” odgórnie wprowadzającej w życie program dramatycznych reform.

Adam Michnik

Dodam tylko dwie uwagi. Pierwsza: tego typu rozumowanie – z mojego punktu widzenia – abstrahowało od obecności w Polsce potężnych baz wojsk sowieckich oraz od tego, że w rękach aparatu bezpieczeństwa znajdowały się resorty siłowe. Radykalna strategia – choćby werbalnej – lustracji i dekomunizacji narażała kraj na ryzyko konfrontacji i destabilizacji. Do dziś bardzo wysoko oceniam ponadroczną prezydenturę gen. Wojciecha Jaruzelskiego. W Hiszpanii pięć lat po pierwszych wyborach w tamtejszym parlamencie

rozległy się strzały. Zamach stanu dokonany przez podpułkownika Antonio Tejero 23 lutego 1981 roku był próbą rekonstrukcji frankizmu. W Polsce do niczego podobnego nie doszło. To był nasz największy cud.

Uwaga druga. Pamiętam, jak latem 1989 roku przyjechałem do Czechosłowacji. Byłem parlamentarzystą, w kieszeni nosiłem paszport dyplomatyczny. Spotykałem się z moimi przyjaciółmi z Karty 77. Odwiedziłem Václava Havla w Hradcu, później pojechałem do Bratysławy, gdzie spotkałem się z Alexandrem Dubčekiem. Dobrze zapamiętałem ówczesne dość powszechne przekonanie, że w Czechosłowacji nie ma szans na powtórzenie się polskich wydarzeń. Powtarzano: tu panuje inna mentalność, przebywamy wciąż między Franzem Kafką a Szwejką. Wszyscy – z Václavem Havlem na czele – tak mówili. Upierałem się. Przekonywałem Havla: „Praga nie jest miastem, które może funkcjonować w systemie komunistycznym. To inny świat”. Na te słowa usłyszałem: „Adamie, widziałeś raptem trzech turystów, którzy grali na gitarze na moście Karola!”. Odpowiedziałem: „Nie. Ty do końca tego roku będziesz prezydentem”. On na mnie popatrzył, jakbym mu proponował bilet na Księżyc.

Jacques Rupnik

Uwaga Adama Michnika jest bardzo trafna. Latem 1989 roku w Czechosłowacji nie oczekiwano rewolucji czy załamania się systemu. Jesienią nastąpiło wielkie przyspieszenie. W ciągu miesiąca doszło do ogromnych zmian. Obserwowałem je – podobnie jak inni – z podwójnej perspektywy. Po pierwsze, poprzez pryzmat wydarzeń w Polsce i na Węgrzech. Pamiętam, jak wówczas zadawałem pytania w Pradze: „Czy tworzycie partię? Czy przygotowujecie się do wyborów?”. „Jakie partie mamy tworzyć?” – słyszałem w odpowiedzi. „Jakie? Na przykład socjaldemokratyczne. Trzeba coś zrobić” – przekonywałem.



Po drugie, przyglądałem się temu, co się dzieje w ZSRR, i jak na zachodzące zmiany patrzą państwa zachodnie. Z ich punktu widzenia w Europie Środkowej nie powinno się wydarzyć nic, co mogłoby zagrozić władzy Michała Gorbaczowa. Adam Michnik ma rację, dopominając się o uwzględnianie ówczesnych uwarunkowań. A dla Zachodu najważniejsza była stabilizacja. Patrząc z polskiej perspektywy, można było uważać, że Czeši ociągają się ze zmianami. Jednak według Francuzów i innych ludzi Zachodu konieczna była przede wszystkim ostrożność.

János Kis powiedział: „drugi ma łatwiej, bo może pójść szybciej do przodu”. Trzeci, czwarty jest w jeszcze lepszej sytuacji. Adam Michnik mógł rzucić hasło: „wasz prezydent, nasz premier”. W Pradze „nasz” mógł zostać prezydentem, a komunista Marián Čalfa został premierem i bardzo szybko dostosował się do nowych okoliczności. Dzisiaj wiele osób krytykuje ten kompromis. Mówi się, że był to błąd. Ten wybór umożliwił staremu aparatowi zachowanie wpływów. Tymczasem Václav Havel twierdzi, że to był bardzo dobry premier na ten czas. Jednak „spóźnienie”, „ociąganie się” sprawiło, że można było decydować się na bardziej radykalne kroki, np. na dekomunizację. Nie było potrzeby negocjacji z ludźmi, którzy dzięki umocowaniu w Moskwie mogli nam zagrażać. ZSRR nie było już gotowe wspierać ich przy użyciu siły. Dawni rządzący musieli pogodzić się z nową sytuacją. Ta właśnie sytuacja może pomóc w wyjaśnieniu radykalizmu, jaki cechował czeską debatę dekomunizacyjną u początku przemian.

Dziś mówi się, że w tym sporze po jednej stronie znaleźli się Václav Havel i inni dysydenci. Oni nie opowiadali się za lustracją czy dekomunizacją. Oni też w grudniu '89 negocjowali z komunistami przekazanie władzy. Te rozmowy to był czechosłowacki „mały okrągły stół”. Z drugiej strony byli reprezentanci bardziej radykalnych postaw.

Havel w swym pierwszym prezydenckim przemówieniu wygłoszonym 1 stycznia 1990 roku mówił o systemie totalitarnym, w którym nie było podziału na dobrych i złych. Oczywiście byliśmy „my” i byli „oni”, ale istniał łańcuch powiązań społecznych i wszyscy w pewnym stopniu uczestniczyli

w tym systemie. Wiadomo, że każdy ponosił inną odpowiedzialność, ale w ostatecznym rozrachunku wszyscy byli „umoczeni” w komunizm.

Tylko Václav Havel, gdy prosto z więzienia trafił na fotel prezydencki, mógł pozwolić sobie na wygłoszenie takich słów, które mu się pamięta do dzisiaj. Pół roku później w przemówieniu wygłoszonym w rocznicę inwazji sierpniowej 1968 roku mówił o niebezpieczeństwie radykalizmu, ale także o konieczności ukarania za zbrodnie. Ci, którzy popełnili przestępstwa, muszą za to ponieść odpowiedzialność – podkreślał Havel. Nie można zatem mówić o tym, że prezydent odrzucał problem odpowiedzialności za przeszłość.

Jednak ponieważ Václav Havel zajął na początku swej kadencji postawę antydekomunizacyjną, to Václav Klaus, jego *alter ego* w opozycji, musiał zostać ubrany w szaty wielkiego lustratora. Ten jego strój nie odpowiada jednak ówczesnej rzeczywistości. Klaus zachowywał ostrożność w tej kwestii. Wiedział, że osoby w kręgach gospodarczych w przeważającej większości wywodziły się z partii komunistycznej. Był wówczas przeciwny lustracji. Zależało mu na szybkiej transformacji gospodarczej, to był dla niego priorytet. Dopiero kiedy doszło do polaryzacji stanowisk w Forum Obywatelskim, rozliczenia stały się podstawowym punktem debaty. Doszło do instrumentalizacji problemu dekomunizacji. Konieczność podkreślania różnic dzielących poszczególne obozy sprawiła, że przyjmowano taką, a nie inną postawę.

Adam Michnik

Moim zdaniem w Polsce przez cały czas problem dekomunizacji był instrumentalizowany. Jednak istnieje pogląd, z którym do pewnego stopnia się zgadzam, że zabrakło wielkiej defilady zwycięzców. Dlaczego do niej nie doszło? Ponieważ w Polsce zwycięstwo przeraziło zwycięzców. My interpretowaliśmy wybory 4 czerwca na podstawie rezultatów w wyborach do Senatu, czyli 99 na 100 miejsc. Takie wyniki osiągał wcześniej Iosif Wissarionowicz. Nikt inny takim stosunkiem nie wygrał. Ci, którzy wśród opozycji mieli poczucie odpowiedzialności, wpadli w panikę. Uwagi Aleksandra Smolara są

bardzo trafne, ale z perspektywy obserwatora mógł on w ten czy inny sposób układać puzzle. Natomiast wiedzieliśmy, że może dojść do buntu aparatu partyjnego i służby bezpieczeństwa. Generała Jaruzelskiego szybko zdołano by pozbawić władzy! Z tego punktu widzenia otwieranie radykalnego frontu antykomunistycznego było działaniem kontrproduktywnym.

Należy dodać jeszcze jeden element odróżniający Polskę od Bułgarii, Czechosłowacji, Węgier i innych krajów obozu komunistycznego. Jest nim Kościół katolicki. To była instytucja sprzyjająca zmianom, a nawet otwarcie je wspierająca, ale nie popierała jakichś *quasi*-rewolucyjnych czy odwetowych działań. Kościół wyznawał raczej filozofię, którą dobrze ilustrują wielokrotnie cytowane słowa Jana Pawła II: „Życzę wam, aby wśród was nie było zwyciężonych i zwycięzców”. W 1989 roku od jednego z biskupów usłyszałem: „Dopóki nie było wolnej Polski, polscy patrioci służyli w rosyjskiej armii, w austriackiej armii, w pruskiej armii. Kiedy przyszła wolna Polska, to oni wszyscy spotkali się w polskim wojsku, ponieważ byli polskimi patriotami”.

Pamiętam także moje dyskusje – jeszcze w latach 70. – z Pawłem Hertzem, bardzo wybitnym pisarzem, intelektualistą, eseistą i jednocześnie skrajnym konserwatystą. Poszło o ocenę Bolesława Piaseckiego i PAX-u. Mówiłem: to przecież obca agentura. A on na to: zobaczysz, najgorsi są ci, którzy będą się ewakuowali z Warszawy z sowiecką armią. Dlatego też uważnie przyglądałem się, kto w 1989 roku będzie wyjeżdżał na Wschód. Takiej osoby, Wandy Wasilewskiej nowych czasów, nie było. To właśnie nakazywało – nawet tak zapiekłym opozycjonistom, jak Jacek Kuroń czy ja – inaczej myśleć o rozliczeniach.

János Kis

Oczywiście po powstaniu rządu Tadeusza Mazowieckiego mieliśmy do czynienia ze specyficzną sytuacją, ale – jak rozumiem – nadal pozostałeś przy swoim stanowisku w sprawie dekomunizacji, nawet po demontażu ostatnich śladów władzy komunistycznej w Polsce. Sądzę więc, że tego wyboru nie można sprowadzić do pragmatyzmu, lecz była to kwestia zasad. Również

nie sędzę, żeby – jak mówił Jacques Rupnik – czechosłowacka prawica nie interesowała się dekomunizacją i by została ona wprowadzona do debaty jedynie w celach instrumentalnych. W polityce wszystko wiąże z walką o władzę i zawsze trzeba liczyć się z konsekwencjami jej przejęcia. Pozostaje zatem pytanie: którędy przebiegają granice określone przez zasady?

Na początku lat 90., kiedy dekomunizacja była na Węgrzech palącą kwestią, nie myślałem w kategoriach odrzucenia, zemsty czy przebaczenia, lecz zastanawiałem się nad sposobem postrzegania demokracji opartej na prawach konstytucyjnych. Uznałem, że nikogo nie wolno prześladować bez decyzji sądu. Jeżeli prokuratura stwierdzi, że doszło do przestępstwa, to sprawa powinna trafić do sądu. Ale nikogo nie powinniśmy wykluczać z polityki tylko na podstawie jego przeszłości, jedynie na podstawie tego, kim był i co zrobił w przeszłości, o ile nie zrobił czegoś, co podlega postępowaniu karnemu (oczywiście uwzględniając instytucję przedawnienia).

Jednocześnie sądziłem, że lustracja w ograniczonym stopniu jest niezbędna. Dlaczego? Ponieważ niektórzy – byli tajni współpracownicy – zaczęli się ubiegać o urzędy polityczne – stanowiska wybieralne albo w administracji państwowej. Społeczeństwo ma prawo znać przeszłość osób, które w ustroju demokratycznym chcą w jego imieniu rządzić. Gyula Horn należał w 1956 roku do tzw. *pufajkások* – paramilitarnej organizacji partii komunistycznej. Jego przeszłość była ważnym tematem kampanii wyborczej w 1994 roku. Jednak Horn wygrał wybory, został premierem. Mogę nie być zadowolony, iż były komunista, człowiek o takiej przeszłości, zajmuje wysokie stanowisko. Jednak o tym zadecydował werdykt wyborczy. I przywołam drugi przykład. Péter Medgyessy, socjalistyczny premier w latach 2002–2004, okazał się agentem komunistycznych służb bezpieczeństwa. Jednak tej informacji nie ujawniono podczas kampanii wyborczej. Głosujący na niego nie wiedzieli o jego przeszłości. Ci, którzy chcieli jego przegranej w wyborach, zostali pozbawieni szansy powiedzenia swoim współobywatelom: „Hej, on był tajnym agentem, nie powinieneś na niego głosować!”. Tego nie można akceptować. Jego przeszłość jako tajnego agenta była częścią jego kariery politycznej i wyborcy mieli pra-

wo wiedzieć o tym, zanim wrzucili do urn karty do głosowania. Dlatego uważałem, że ograniczona lustracja jest niezbędna. Nie po to, by osoby powiązane ze służbami specjalnymi wykluczyć z polityki czy zabronić im zajmowania stanowisk państwowych. Jednak wyborcy powinni świadomie podejmować decyzje, komu są gotowi zaufać.

Adam Michnik

Spór o lustrację zapewne pozostanie nierozstrzygalny. Zgadzam się z tym, co powiedział János Kis, tylko nie wierzę, by KGB-owskie papiery były wiarygodnym źródłem wiedzy o ludziach. „Agent” to słowo-wytrych. Agent agentowi nierówny. Jest nim ten, kto donosił na kolegów, i ten, kto został jedynie wpisany na listę współpracowników przez KGB-owców. Nie uważam, aby ludzie służb bezpieczeństwa byli najbardziej prawdomównymi osobami w historii naszego państwa.

Część 2

O formowaniu się nowej mapy politycznej

Jacques Rupnik

Będę mówił o losach głównych bohaterów 1989 roku: byłych dysydentów i byłych komunistów. W przypadku tych pierwszych ich liczba – przynajmniej w Czechach – od chwili przetomu rośnie każdego dnia. Natomiast ich wpływy słabną. A jak wyglądała sytuacja drugiej strony? Karol Radek niegdyś w następujący sposób opisał etapy dziejów ludzkości: najpierw był matriarchat, potem nastął patriarchat, a wreszcie nadeszły czasy sekretariatu. Co się stało zatem z sekretariatem po utracie monopolu na władzę? I jakie były losy dysydentów?

W pierwszym etapie, w roku 1989, można mówić o zwycięstwie kultury demokratycznej, której nośnikami byli dysydenci. Oni też okazali się bardziej przekonujący niż reprezentanci struktur totalitarnych. Jeżeli jednak przyjrzymy się sytuacji, jaka zaistniała dziesięć lat później, to widać, że rzecznicy kultury demokratycznej w większości krajów zostali przyćmieni przez innych, a nawet odsunięci od polityki. Natomiast dysponujący ukształtowanymi



strukturami partyjnymi (nie tylko o tradycji komunistycznej) lepiej sobie radzili w walce wyborczej. To drugi etap. Do ostatniego, obejmującego obecny czas, za chwilę wrócę. Powiem teraz tylko tyle, że dla obu stron sprawy nie wyglądają najlepiej. Dodam jeszcze, że obecni tu János Kis i Adam Michnik są ciekawymi i dość wyjątkowymi przykładami. Obaj działali w opozycji demokratycznej, ale nie ubiegali się o władzę. Nie weszli w politykę.

Jak zatem wyjaśnić zmierzch dysydentów? Okazało się, że kultura demokratycznego oporu, która się tak dobrze sprawdziła w walce z totalitaryzmem, nie jest najskuteczniejsza w sytuacji partyjnego pluralizmu politycznego. Więcej, może ona być przeszkodą w rozwoju tego pluralizmu. Dlaczego? Ponieważ jest to kultura opierająca się na silnym rdzeniu moralnym, antypolityczna, łącząca społeczeństwa obywatelskie przeciwko państwu, silnie polaryzująca strony na „my” i „oni”. Oczywiście etos ruchów dysydentów różnił się w poszczególnych krajach, jednak generalnie można powiedzieć, że sprawdził się jako skuteczna kultura oporu, ale nie zdał egzaminu w sytuacji rywalizacji między partiami.

Istotne są także sposób rozumienia przez dysydentów polityki oraz samej demokracji, podkreślanie znaczenia społeczeństwa obywatelskiego, położenie nacisku na element partycypacyjny i opowiadanie się za szerokimi ruchami społecznymi, a nie za partiami. Jiří Dienstbier jednego dnia był palaczem, a następnego został mianowany ministrem spraw zagranicznych. To dobry przykład społeczeństwa obywatelskiego dochodzącego do władzy. I co się stało? Wkrótce tę władzę straciło.

Podam jeden czeski przykład dobrze pokazujący dylematy byłych dysydentów i ich relacje z polityką. Wiosną 1990 roku Forum Obywatelskie, wyrosłe na fali „aksamitnej rewolucji”, wygrywa wybory parlamentarne. Po tym sukcesie Jan Urban, przywódca Forum, ogłasza: „Odchodzę z polityki”. Niewielu w podobnej sytuacji decyduje się na taki krok. Kolejnym etapem, może nawet ważniejszym, jest rozłam w Forum. Jesienią musi zostać wybrany jego nowy przewodniczący. Pierwszy kandydat to dysydent Martin Palouš. Wstaje z podręcznikiem filozofii w ręce i mówi: „Nie zależy mi na władzy, chcę służyć *polis*”. Podkreśla swoje przywiązanie do ideałów lat 80. Otrzy-

muje stonowane brawa. Następnie zabiera głos Václav Klaus. Od początku deklaruje: chcę władzy i powiem wam, dlaczego. W kraju jest następująca sytuacja i musimy zrobić to, to i to. Jestem właściwym człowiekiem, by tym się zająć. Było oczywiście, kto zostanie przywódcą.

Nie opowiadam o tym wszystkim, by krytykować Martina Palouša. Jedynie opisuję ówczesne wydarzenia. Wybory i rozłam w Forum pokazują, w jaki sposób postdysydencka polityka ruchu ustępuje procesowi tworzenia partii i profesjonalizacji polityki. Tę zmianę spowodowały takie osoby, jak Klaus. One w kampanii wyborczej zastosowały język zarządzania i biznesu dopasowany do potrzeb polityki. To był punkt zwrotny.

Nie oznacza to, że dysydenci nie byli zdolni podjąć walki partyjnej. Ich problemem była baza. Oni, zwłaszcza w Polsce, działali w oparciu o ruch społeczny. I jednocześnie całą swą wiarygodność położyli na szali przeprowadzenia reform gospodarczych. Leszek Balcerowicz i Jacek Kuroń przeprowadzili niezmiernie udane reformy rynkowe, ale nie przyniosły one dysydencom zysków politycznych. Więcej, oskarżano ich o zdradę.

Wreszcie, dysydenci mówili o idei Europy. Podkreślali: budujemy europejską przestrzeń publiczną, walczymy w obronie europejskich wartości, chcemy powrotu do Europy itd. Później rozpoczyna się dłu-goletni proces wstępowania do Unii Europejskiej. I zostaje on przejęty przez ekspertów, technokratów. Nie jest już łączony z wartościami ruchu demokratycznego.

Dzisiaj z różnych powodów dysydenci są oceniani krytycznie. Brakowało im umiejętności niezbędnych do funkcjonowania w czasach demokracji, oskarżano ich też o zdradę wartości, którym początkowo hołdowali (o czym pisał w przypadku Polski David Ost¹). Intelktualiści musieli wprowadzić gospodarkę rynkową i spójrzmy, dokąd ich to zaprowadziło. Jest jeszcze jeden powód zmięczenia ruchów dysydenckich, o którym nie będę tu jednak wiele mówił. To „grzech pierworodny”. Przemiany były wynikiem negocjacji, po czym zaniedbano lub pominięto kwestie rozliczenia się z przeszłością.

¹ David Ost, *Kłęska „Solidarności”. Gniew i polityka w postkomunistycznej Europie*, przeł. Hanna Jankowska, Warszawa 2007.

Była to moralna porażka całego przedsięwzięcia. Oczywiście negocjacje z komunistami doprowadziły do chwalebного powstania instytucji demokratycznych, ale też do politycznego zwichnięcia ruchu dysydenckiego. I można uznać, że byli opozycjoniści zasłużyli sobie na taki los.

Przypomnę dwa – przeciwstawne – poglądy na temat dysydentów. Według jednego to getto cnotliwych intelektualistów, odciętych od reszty społeczeństwa. Według drugiego byli oni prawdziwym głosem milczącej większości społeczeństwa. W zależności od tego, który z tych poglądów uważa się za prawdziwy, różnie tłumaczy się przyczyny odejścia dawnych opozycjonistów w cień. Albo uważa się, że jest to pogłębienie wcześniejszej izolacji, albo też sądzi się, iż osiągnęli swój cel, czyli zbudowanie pluralizmu demokratycznego. Dysydenci byli głosem społeczeństwa, ale pojawiły się inne głosy i oni powracają do swojej podstawowej roli: pisarzy, intelektualistów itp. Niemniej wspomniany przeze mnie wątek zdrady ideałów powraca także teraz, dwadzieścia lat po wydarzeniach 1989 roku.

Zajmę się teraz drugą stroną, tym, co się stało z „sekretariatem”, nawiązując do określenia Karola Radka. Nie można dla jego reprezentantów wyznaczyć jednej, wspólnej drogi, ale zasadniczo w Europie Środkowej przekształcili się w socjaldemokrację. Z kolei na Bałkanach sięgnęli po kartę nacjonalistyczną jako narzędzie do przetrwania w polityce. Wyjątek stanowią Czesi. Oni pozostali wierni sobie. Tu nadal istnieje partia komunistyczna. Czy jest życie po śmierci? Tak przynajmniej twierdzi Czeska Partia Komunistyczna.

Jednak mówiąc o losach komunistów, trzeba przede wszystkim zwrócić uwagę na inne problemy. Po pierwsze, udało im się zamienić władzę polityczną na gospodarczą. Chyba po raz pierwszy węgierski socjolog Elemér Hankiss postawił w 1989 roku tę tezę, że komuniści przyjęli strategię: odchodzimy od polityki i powracamy do władzy w gospodarce. Po drugie, oddanie władzy było tymczasowe i komuniści dość szybko po czasie przelotnie po nią sięgnęli. Udało się także przechwycić państwo, sprywatyzować je i wykorzystywać poprzez własne skorumpowane siatki czy sieci. To, według mnie, jest decydująca kwestia w dyskusjach o kształcie demokracji w bloku postkomunistycznym.

Udział ekskomunistów w wyborach demokratycznych, ich powrót do władzy, a następnie utrata rządów pokazują, że mamy do czynienia z procesem demokratycznym. Nie ma w tym nic naganego. Problem leży gdzieś indziej. Robert D. Putnam i inni socjologowie podkreślali znaczenie kapitału społecznego, wagę współdziałania oraz społeczeństwa obywatelskiego dla zachodniej demokracji. Istotne jest to, czy otoczenie i warunki prowadzą do budowy zaufania, co jest konieczne dla funkcjonowania prawa i instytucji demokratycznych. Kapitał społeczny odziedziczony z czasów komunistycznych w Europie Środkowo-Wschodniej jest odwrotnością funkcjonującego na Zachodzie. Otrzymaliśmy w wianie skorumpowaną sieć starego reżimu budowaną na omijaniu prawa, naginaniu go, na jego wykorzystywaniu dla własnego przetrwania w nowych warunkach, a tymi działaniami podkopujemy wiarę w zasady prawa i w instytucje demokratyczne.

W jakiej sytuacji dziś się znajdujemy? W pierwszym etapie przemian rzecznicy kultury demokratycznej próbowali przełamać strukturę odziedziczoną po komunizmie. W następnym ta kultura pozostawała w cieniu, natomiast dysponujący strukturami byli w stanie ocaleć. Obecnie obie grupy znajdują się w złej kondycji. Eksdysydenci znaleźli się na marginesie, ekskomuniści w większości krajów także schodzą ze sceny. W tak ukształtowanym krajobrazie politycznym wiele miejsca zostaje dla prawicy. Fakt, że ekskomuniści przez lata zajmowali poważną część przestrzeni, pozbawiło legitymizacji koncepcje lewicowe i stworzyło przestrzeń dla przeciwległej strony. Główna debata toczy się obecnie między liberalną prawicą a ugrupowaniami nacjonalistycznymi, populistycznymi czy konserwatywnymi. To swoisty wkład komunistów w nowy krajobraz polityczny.

Niektóre osoby, jak Karel Schwarzenberg w Czechach, próbują rzucić wyzwanie tej sytuacji, tworząc nową partię zwaną TOP 09. Budują ją wokół haseł: tradycja, odpowiedzialność, dobrobyt. Mógłbym powiedzieć, że to ciekawy projekt. Tylko chciałbym zapytać: o jaką tradycję nam chodzi? Do czego chcemy wrócić? Do tradycji dysydenckiej? To już czas przeszły, nic z niej nie pozostało. Do tradycji komunistów? Oczywiście, że nie. Ona się rozpa-

dła. Do czasów przed komunizmem? Nikt o nich nie pamięta. Może zatem Schwarzenberg pragnie odwołać się do tradycji chrześcijańskiej, stworzyć czeską wersję CSU? Tylko jak tego dokonać w kraju, gdzie niemal nie ma już katolików? Bardzo trudnym zadaniem jest znalezienie się w przestrzeni, którą pozostawili po sobie eksdysydenci i ekskomuniści.

Zwrócę uwagę na jeszcze jedną, generalną kwestię. W wyniku układu zawartego w 1989 roku powstała przestabilizowana demokracja, w której doszło do zneutralizowania debaty publicznej. Eksdysydenci i ekskomuniści razem tworzyli wolny rynek i instytucje demokratyczne, razem wprowadzali swoje kraje do Unii Europejskiej. Skonstruowano zespół wspólnie podzielanych poglądów, który niczym mantrę zaczęto powtarzać, nie dostrzegając pomijanych czy wykluczonych z debaty. I oni teraz zaczynają się mścić na dominującym do niedawna układzie, czego przykładem są Jarosław i Lech Kaczyńscy. Podobnie dzieje się w innych krajach. Dziś można nawet mówić o syndromie zmęczenia demokracją.

Na koniec chcę postawić pytanie: co jeszcze ze spuścizny dysydenckiej pozostało w dzisiejszej polityce?

János Kis

Poprę Twoją tezę na temat kultury dysydenckiej i jej wpływu na postdysydencką postawę wobec polityki demokratycznej, ale trochę inaczej rozłożę akcenty. Uważam bowiem czeski przykład za ciekawy, rzucający światło na procesy po 1989 roku, ale też dość niebezpieczny. Łatwo bowiem wyolbrzymić jego znaczenie. Dlaczego? Od samego początku podejście moralistyczne było obecne w polityce dysydenckiej. Jednak nie tylko ono miało znaczenie. Dobrym przykładem jest to, jak Adam Michnik wypowiadał się na temat² dojścia do „okrąglego



² Patrz: część 1 niniejszego tomu.

stołu” i tego, w jaki sposób zmieniały się jego poglądy dotyczące tego zdarzenia.

Można także dobrze pokazać, że od połowy lat 70. Michnik udanie łączył w swoim myśleniu wyraziste stanowisko moralne z ideami strategicznymi. On zrozumiał nowy ewolucjonizm jako moralną odpowiedź na opresyjną i obłudną naturę reżimu, lecz także zaproponował to jako strategię opartą na kalkulacji biorącej pod uwagę interesy władców komunistycznych, w tym liderów Związku Radzieckiego. Uważam zresztą, że to połączenie decydowało o rozwoju polskiej opozycji, poczynając od KOR-u, po „Solidarność”. Nie twierdzą, że zawsze była to strategia sukcesu, niemniej jednak cieszyła się ona większym powodzeniem niż inne mi znane. W 1976 roku Adam Michnik, Jacek Kuroń i ich koledzy ogłosili, że należy organizować społeczeństwo obywatelskie poza instytucjami oficjalnego państwa, a następnie używać je jako formę nacisku. Po czterech latach doszło do powstania „Solidarności”. Nie znam żadnego innego historycznego przykładu, kiedy wybór strategiczny odniósł tak spektakularny sukces w tak krótkim czasie. Podobne zjawiska można pokazać na Węgrzech, ale próżno szukać ich w Czechosłowacji. Dlaczego? Ponieważ nie było tam przestrzeni pozwalającej na włączenie rządzących do gry strategicznej. Komunistyczni przywódcy Czechosłowacji znali jedynie język siły. W tej sytuacji najważniejszą kwestią dla tamtejszych dysydentów była odwaga moralna i siła stawienia czoła władzy. Jeżeli zatem chcemy szukać przyczyn zmarginalizowania dawnego ruchu dysydenckiego na Węgrzech i w Polsce, to trzeba szukać innych powodów niż w Czechach. W tym ostatnim przypadku – raz jeszcze podkreślam – opozycjoniści przede wszystkim stawili czoła reżimowi, ale nie myśleli o tworzeniu strategii politycznych, budowaniu koalicji, szukaniu kompromisów itp., czyli nie zajmowali się polityką. Nie udało się przekonująco wyjaśnić przyczyn sytuacji w tych krajach powiedzeniem: dysydenci przegrali, bo jedynie moralizowali.

Jacques Rupnik

To bardzo celna uwaga. Specjalnie przejraskrawiłem obraz, postępując się czeskim przykładem.

Aleksander Smolar

Sądzę, że bardzo słuszne jest podkreślenie różnic między Czechami a Polską i Węgrami. Chciałbym zwrócić uwagę na antypolityczność jako źródło siły i słabości opozycji po przejściu przez nią władzy. Uważam, że źródło klęski formacji postdysydenckich tkwiło w tym, że nie były one w stanie połączyć dwóch logik niezbędnych dla funkcjonowania w polityce demokratycznej, czyli sfery celów globalnych, długookresowych, dotyczących całej wspólnoty z koniecznym zdobywaniem poparcia konkretnych wyborców.

Podstawą polityki demokratycznej jest uznawanie częściowości własnych racji, interesów, celów, tego, że reprezentujemy pewne wartości istotne dla własnego elektoratu. Demokratyczny proces polityczny opiera



się na konfrontacji, walce, szukaniu kompromisów między siłami, które reprezentują różne wrażliwości, interesy itp. Opozycja demokratyczna (w Polsce nie lubiano słowa „dysydenci”, miało ono bowiem konotacje religijne, zakładało relacje z Kościołem, a także łączono je z marginalnością czy mniejszościowością zjawiska) wywodziła się z tradycji polskiej inteligencji, która utożsamiała się z interesami całej wspólnoty oraz z powodu rozbiorów i braku elit gospodarczych,

politycznych i innych pełniła funkcję uniwersalnej elity. Po 1989 roku mieliśmy do czynienia z nakładaniem się dwóch tradycji – jeszcze dziewiętnastowiecznej, inteligenckiej oraz – świeższej daty – opozycji demokratycznej. To wszystko powodowało utożsamianie się partii wywodzących się z opozycji z całością i odmową myślenia w kategoriach częściowości racji i celów oraz interesów własnego elektoratu.

Mnie, osobę aktywną także w polityce, fascynowało, jak w kolejnych partiach, których byłem członkiem, istniała gotowość do rezygnacji z interesu własnego elektoratu ze względu na interesy całego państwa. Uważam

zresztą, że ze względu na tę cechę formacje te odegrały historyczną rolę w rozwoju Polski. Jednak był to – w znacznej mierze świadomy – wybór myślenia antypolitycznego. Odmówiono uprawiania polityki – *nota bene* dziś mamy jej w nadmiarze – w której dominują dbałość o wyniki sondażów oraz perspektywa najbliższych wyborów. Politykę utożsamiono z myśleniem długiej perspektywy, wielkich celów i gotowości poświęcenia się dla nich. Jeżeli szukamy przyczyn śmierci formacji postdysydenckich, ich Tanatosa, to jedną z przyczyn był właśnie wybór antypolityczności. Te partie miały w swoim genotypie wpisane to, że są formacjami okresu przejściowego. Odegrały swoje role i chwalebnie zmarły.

A co z drugą stroną, z formacjami postkomunistycznymi? Dostrzegam pewną symetrię między nimi a postdysydenckimi. Partie wywodzące się z dawnego systemu przyjęły reguły demokratyczne oraz model transformacji (negocjacje „okrągłego stołu” *implicite* zawierały kontrakt dotyczący przemian). One także, podobnie jak dysydenci, często dokonywały zdrady własnego elektoratu. Przy czym słowa „zdrada” nie traktują negatywnie, jest to formalna wartość, podobnie jak wierność. Zawsze trzeba zapytać: „wierność wobec czego?” i „zdrada wobec czego?”. Dobrze widać ten proces na przykładzie rządu Leszka Millera. Słusznie pamięta się tej ekipie korupcję i sprawę Lwa Rywina. Jednak zapomina się, że ten rząd równocześnie dokonał „operacji na żywym ciele”, jaką było przygotowanie Polski do wejścia do Unii Europejskiej. Jego działania były często zdradą własnego elektoratu, który miał odmienne oczekiwania. Można zatem powiedzieć, że paradoksalnie zanik partii postkomunistycznych miał podobne źródła, co schyłek partii postdysydenckich. I one wypełniły swoje zadanie: zapewniały poparcie dla fundamentalnych przemian ze strony elektoratu, który ze względu na interesy czy przyzwyczajenia utożsamiał się z PRL-em.

Iwan Krastew

Można powiedzieć, że często stajemy się ofiarami sukcesu.

Mówimy o ludziach, którzy dysponowali wyłącznie własnym słowem. I nagle, na skutek zmian w 1989 roku, stali się bardzo potężni. Dysydenci

zaczęli wierzyć, że można rządzić tylko przy pomocy słów. Wiara we władzę symboliczną jest czymś charakterystycznym dla tej formacji – co zrozumiałe z psychologicznego i z bardzo ludzkiego punktu widzenia. Pisałem jedynie eseje, minęło sześć miesięcy i posiadam realną władzę. Niektórzy uwierzyli nawet, że tworząc dalej eseje, będą rządzić przez kolejne dziesięć–piętnaście lat. Przeceńnię siły słowa to (moim zdaniem) jedna z głównych przyczyn upadku formacji postdysydenckich.



Drugim elementem jest stosunek do gospodarki. Oczywiście dysydenci byli nastawieni bardzo prorynkowo i proreformatorsko. Jednak gdzieś głęboko żywili przekonanie, że powinno się chronić demokrację przed kapitalizmem, bo jest on o wiele trudniejszym wyzwaniem i obywatele łatwo go nie zaakceptują.

Chciałbym przywołać wyniki badań opinii społecznej Instytutu Spraw Publicznych przed wyborami 2004 roku³. Wynika z nich, że kapitalizmowi ufa w Polsce więcej osób niż demokracji. Dzisiaj konsument unowocześnił się i jest przekonany, że gospodarka rynkowa nie niszczy systemu demokratycznego, lecz pomaga mu. A jak to było postrzegane we wczesnych latach 90. przez Václava Havla i innych? Na przykład w Bułgarii nie posługiwaliśmy się terminem „kapitalizm”, bo obawialiśmy się tego słowa. Uważaliśmy, że zostało ono tak bardzo zmanipulowane przez komunistów, iż ludzie go nienawidzą. Stosowaliśmy zatem rozmaite synonimy, by tylko przemycić koncepcję gospodarki rynkowej. Okazało się jednak, że to kapitalizm, a nie demokracja, został zaakceptowany jako wartość powszechnie podzielana.

³ *Świadomość ekonomiczna społeczeństwa i wizerunek biznesu*, red. Lena Kolarska-Bobińska, Warszawa 2004.

Wymieniłbym jeszcze trzeci element. Dysydenci ze względu na własną historię nie dostrzegali kwestii bardzo ważnej dla obywateli: represyjnej istoty słabego państwa. W krajach takich jak Bułgaria policja zniknęła, praktycznie została sprywatyzowana. Mogłeś zostać oszukany, okradziony, pobity, lecz siły policyjne pełniły jedynie funkcję niezaangażowanego obserwatora. Słabość państwa, poczucie, że nie jesteśmy chronieni, prowadzi do gniewu ludu. Jednak dysydenci, przywiązani do strachu przed silnym dyktatorskim państwem, nie byli wrażliwi na ten problem. Obywatele poczuli się zagubieni. Dlatego w połowie lat 90. w debacie publicznej przewagę zyskały osoby, które mówiły o funkcjonowaniu państwa, a nie tylko o społeczeństwie obywatelskim. Ponownie odkryto państwo jako wartość. To, w moim przekonaniu, w znacznej mierze przyczyniło się do zmiany nastroju społecznego, a następnie do marginalizacji partii postdysydenckich.

Jacques Rupnik

Można mówić także o konwergencji pomiędzy eksdysydentami, którzy państwo totalitarne uznawali za wroga wolności, oraz liberałami ekonomicznymi uważającymi państwo za główną przeszkodę dla wolnego rynku. W takiej perspektywie Havla i Klause – adwersarzy politycznych – zbliżało przekonanie, że w określonym momencie należy rozmontować władzę państwa.

A w jaki sposób gospodarka rynkowa była wprowadzana pod sztandarem „Solidarności”?

Adam Michnik

Sądzę, że jest to kluczowe dla rozumienia kwestii, o której mówił Aleksander Smolar.

W Polsce koncepcja, że najważniejszy jest wolny rynek, pojawiła się około 1986–1987 roku. Przy czym, należy to podkreślić, jej zwolennicy występowali przeciw idei trwania „Solidarności” jako podstawy opozycji oraz zakładali uwłaszczenie nomenklatury, uznając, że przestanie być ona komunistyczna, lecz stanie się sojusznikiem rynku. Te koncepcje tworzyły rdzeń koncepcji



rynkowych i liberalnych w Polsce. Podstawowymi postaciami tego nurtu myślenia byli Mirosław Dzielski, Tadeusz Syryjczyk oraz środowisko gdańskich liberałów – Jan Krzysztof Bielecki, Janusz Lewandowski, Donald Tusk.

Natomiast „Solidarność” była zakorzeniona w tradycji socjalistycznej. Dla mnie zresztą ta tradycja jest bliższa niż kapitalistyczno-rynkowa. Inaczej mówiąc, mam poczucie, że dotąd nie wymyślono niczego lepszego niż kapi-

talizm, ale go nie lubię. Wracając do „Solidarności”, to widać było pęknięcie. Można je dostrzec w Jacku Kuroniu i w moich przyjaciółach z „Gazety Wyborczej”. Helena Łuczywo redagowała „Robotnika”, a później kierowała tygodnikiem „Mazowsze”, głównym organem podziemnej „Solidarności”. Później wspólnie nadawaliśmy aksjologiczny ton „Gazecie Wyborczej”. Zapamiętałem nasz ówczesny stan jako permanentną schizofrenię. Z jednej strony były tradycja i lojalność w stosunku do przyjaciół z zakładów pracy, z drugiej – interes polskiego państwa. To były sprzeczne oczekiwania.

Mieliśmy głębokie przekonanie, że musimy bronić praw „Solidarności” z całym jej *backgroundem* Polski samorządnej, w której istotnymi elementami były przedsiębiorstwa zarządzane przez samorząd robotniczy. Przekonanie, iż za posiadaniem większych pieniędzy mają iść większa władza i prestiż, było całkowicie sprzeczne z etosem solidarnościowym. A jednocześnie już istniał projekt, który Tadeusz Mazowiecki nazwał społeczną gospodarką rynkową. Jak zauważył Iwan Krastew, nie używaliśmy słowa „kapitalizm” albo ze strachu, albo z obrzydzenia (to mój przypadek).

Zapewne w przyszłości historycy będą się zastanawiali, w jaki sposób pod parasolem i osłoną związku zawodowego „Solidarność” wprowadzano dość brutalną reformę rynkową. Ja i Jacek Kuroń porównywaliśmy tę sytuację do sporu między bolszewikami a mienszewikami. Pierwsi – jak wiadomo

– twierdzili: skoro Rosja jest słabo rozwiniętym krajem, to należy pójść na skróty od feudalizmu do socjalizmu czy komunizmu. Drudzy odpowiadali: to jest złe odczytanie marksizmu. Najpierw należy zbudować kapitalizm, by dopiero potem móc budować socjalizm. Jacek Kuroń nawet publicznie kilka razy postąpił się tą metaforą. Nie umieliśmy przyjąć do wiadomości, że bierzemy udział w budowie systemu, który ogranicza prawa robotnicze.

Wcześniej, zgodnie z logiką myślenia rodem z epoki dyktatury, uważaliśmy, że zadaniem państwa jest wypełnianie przyjętych przez nie obowiązków, a zadaniem związku – formułowanie żądań. I nagle musieliśmy sobie uświadomić, że państwo to my. Nie możemy zatem naszego państwa traktować podobnie jak wcześniej państwa komunistycznego. Mieliśmy także poczucie, że wolność wystrajkowali robotnicy z Nowej Huty, z kopalni, ze stoczni, i jednocześnie wiedzieliśmy, iż oni pierwsi padają ofiarą wspieranych przez nas zmian. Zakłady, w których pracowali, były nieefektywne. Dodatkowo te, w których funkcjonowała silna „Solidarność”, nie chciały poddać się restrukturyzacji, bo oznaczało to zwolnienia grupowe, bezrobocie itd.

W Polsce doszło do paradoksalnej sytuacji. Podam jeden przykład – wiem, że demagogiczny – fabryki, która produkowała popiersia Lenina. Dotychczas było na nie zapotrzebowanie. Każdy sekretarz partii czy dyrektor przedsiębiorstwa musiał je mieć na biurku. Robotnicy pracowali bardzo dobrze, dostawali nawet nagrody za wnioski racjonalizatorskie. W 1989 roku nadal byli bardzo wydajni, ale nie było już rynku na popiersia Lenina. Zmieniły się okoliczności. Fabryka musiała zbankrutować.

János Kis

Oczywiście historie w poszczególnych krajach regionu są bardzo różne. To, o czym do tej pory mówiono, trudno odnieść do przypadku Węgier. Inny mam też pogląd na podstawowe powody zmierzchu dysydemtów. W 1989 roku uważałem, że powodzenie stworzenia silnej partii będzie zależało od znalezienia sojusznika. Grupa intelektualistów i polityków doszła zatem do wniosku, że trzeba budować szersze fundamenty i próbować uzyskać wsparcie elektoratu. Trwała jednak debata, czy w ogóle należy tworzyć partię

i w którym momencie. Sam byłem przeciwny nadmiernemu pośpiechowi. Państwo komunistyczne patrzyło na nas niechętnym okiem, próbowało odizolować nas od reszty społeczeństwa. Trzeba było wybrać chwilę, kiedy jest szansa na odniesienie sukcesu. To się udało. SzDSz – Związek Wolnych Demokratów – nie składał się z samych dysydentów. Tworzyli go opozycjoniści i związani niegdyś z obozem władzy reformatorzy, ale nie komuniści czy część nomenklatury. Powstało dość spójne ugrupowanie. Z czasem niektórzy dysydenci – jak ja – niezainteresowani karierą polityczną zaczęli się wycofywać z życia partyjnego. Inni okazali się niewystarczająco dobrzy na stanowiska przywódcze, ale wielu udało się zrobić spektakularne kariery.

Zniknięcie SzDSz to bardziej skomplikowana historia. To jest powiązane – jak sądzę – z serią katastrofalnych decyzji politycznych, takich jak zaakceptowanie korupcji politycznej, skandalu Medgyessy’ego, nieodpowiedzialnej polityki wydatków publicznych prowadzonej przez koalicję socjalistyczno-liberalną w latach 2002–2006, wreszcie postawa wobec kryzysu, który wybuchnął po słynnej mowie kłamcy Ferenc Gyurcsány’ego.

Część 3

O zagrożeniach posttransformacyjnych

Aleksander Smolar

Chciałbym powiedzieć o problemie ostatnich lat, czyli o zagrożeniach post-transformacyjnych, chociaż – oczywiście – podobne zagrożenia pojawiały się wcześniej.

Zacznę od wyznania. Dla mnie tajemnicą pozostają wydarzenia, jakie miały miejsce w Polsce w okolicach 2005 roku. Oczywiście mogę przywołać wiele argumentów uzasadniających ówczesną sytuację (znałem je także wcześniej). Pozostaje jednak pewna niedopowiedziana sfera.



Pierwsza sprawa to problem periodyzacji. Tak zwani obrońcy III Rzeczypospolitej, czyli afirmujący drogę, którą przebyliśmy od 1989 roku, rzadko próbują zinterpretować ten okres czy nadać mu sens. Jedyna dotąd zaproponowana interpretacja zakłada podział na czas III Rzeczypospolitej, to znaczy do 2005 roku, oraz następny, czyli IV Rzeczypospolitą, o której nawet jej zwolennicy dziś zapominają.

Czy data 2005 roku jako graniczna jest złym wyborem? Nie. Naprawdę jest

istotna, ponieważ częściowo pokrywa się z końcem okresu transformacji. To, moim zdaniem, interesująca kwestia dotycząca nie tylko Polski. Można ją skrótowo określić hasłem „rozwój po transformacji”.

Okres przemian – nie tylko symbolicznie – zamyka data przyjęcia Polski do Unii Europejskiej. Polska stała się normalnym, choć biednym krajem demokratycznym, po przemianach demokratycznych i rynkowych, po wprowadzeniu wszystkich gwarancji praw człowieka i równości – nawet jeżeli nie zawsze są one respektowane. Znalazła się w NATO oraz w Unii Europejskiej.

Czym zatem można wytłumaczyć rewoltę dużej części społeczeństwa? Jedną z przyczyn są na pewno skandale korupcyjne w czasach rządów Leszka Millera. Nie jest to jednak wystarczająca odpowiedź. Widzę inne – poważniejsze – wytłumaczenie ówczesnej sytuacji: był to odłożony w czasie bunt przeciwko kosztom transformacji. Inaczej mówiąc, dramatyczny konflikt między zasadą rynkową, różnicującą i nakładającą ogromne koszty na dużą część społeczeństwa, a zasadą demokratyczną, dającą wszystkim prawa oraz możliwości organizowania się, przestał być tonowany i ukrywany. Stało się to w momencie, kiedy zarówno klasa polityczna, jak i społeczeństwo uznały, że już wolno mówić o tym głośno. Jarosław Kaczyński, osoba często zbyt szczerą, nawet z punktu widzenia własnych interesów, po przyjęciu do Unii Europejskiej otwarcie powiedział: teraz możemy już szczerze głosić to, co myślimy, oraz formułować nasze prawdziwe postulaty. W części klasy politycznej – nie tylko w Polsce – pojawiło się przekonanie, że znikły mechanizmy nadzoru, przy pomocy których Unia Europejska, ale też Stany Zjednoczone oraz NATO mogły w znacznym stopniu kontrolować proces naszej transformacji. Dobrze przecież wiemy, że Unia nie posiada mechanizmów nadzoru nad negatywnymi procesami zachodzącymi w krajach członkowskich, co można było zobaczyć chociażby na przykładzie sprawy Jörga Haidera w Austrii, ale i wielu innych.

Jedną z przyczyn radykalizmu, który pojawił się około 2005 roku, był zanik owych instrumentów kontrolnych. Jednak, moim zdaniem, za sprawę podstawową trzeba uznać koszty transformacji. Ówczesne sondaże poka-

zywały wyraźny wzrost nastrojów antydemokratycznych, autorytarnych. Przy czym – sformułuję tezę być może wątpliwą – była to rewolta w swym sensie demokratyczna. Przyjęty model transformacji – nie istniała możliwość innego wyboru – został narzucony przez elity. Oczywiście z wielu powodów cieszył się on szerokim poparciem społecznym: kojarzył się z odzyskaniem suwerenności, wcześniejszą działalnością opozycyjną *etc.* To prawda. Adam Michnik mówił o poparciu dla przemian „Solidarności”, ale ten *consensus* był znacznie szerszy. Społeczeństwo mimo bardzo wysokich poniesionych kosztów akceptowało, a przynajmniej tolerowało przemiany opracowane i narzucane przez zjednoczone wówczas elity reprezentujące siły od lewicy po prawicę, od przewodniczących procesowi partii wywodzących się z opozycji demokratycznej po te, które miały swoje źródła w PZPR.

Rewolta 2005 roku to był m.in. populistyczny bunt przeciwko elitom. Dzisiaj zapomina się lub trochę wstydliwie przemilcza, że retoryka Platformy Obywatelskiej w łagodniejszy sposób, ale zmierzała dokładnie w tym samym kierunku, który reprezentowało Prawo i Sprawiedliwość. Zresztą jeszcze w 2008 roku Donald Tusk w rozmowie zamieszczonej w „Polityce”¹ mówił o odpowiedzialnym populizmie. To formuła, którą od dawna się postugiwał.

Czym jest populizm? Drastycznie upraszczając, znamy trzy sposoby włączania mas ludowych w proces polityczny. Pierwszy: demokratyczno-liberalny – społeczeństwo organizuje się i wyłania swoich przedstawicieli. Drugi: paternalistyczny – obywatele zależą od pryncypałów zapewniających im bezpieczeństwo, zatem na nich głosują (elementy tego systemu mogliśmy obserwować w Polsce w 2005 roku). Trzeci: populistyczny – występuje w nim bezpośredni związek między władcą, przeważnie charyzmatycznym wodzem, a samotnym tłumem, dziś głównie siedzącym przed telewizorami. Oczywiście istotną rolę w zmianie modelu polityki odegrały media (z pojawieniem się tabloidów, ale też telewizyjnych kanałów informacyjnych).

¹ *Nowe exposé* [z Donaldem Tuskiem rozmawiają Jerzy Baczyński i Janina Paradowska], „Polityka, 4.10.08.

Patrząc na ostatnie lata, można powiedzieć, że nastąpił dramatyczny regres w stosunku do demokracji lat 90. W tamtym czasie elity narzuciły model transformacji przy pełnym szacunku dla reguł, ale także treści demokracji. Nie zapominam też o tak negatywnych zjawiskach jak korupcja. Jednak dziś znajdujemy się w bardzo dziwnej sytuacji. Wiele już pisano o charakterze głównych polskich partii politycznych – Platformy Obywatelskiej oraz Prawa i Sprawiedliwości – gdzie dwie czy trzy osoby decydują o wszystkim, co się dzieje nie tylko u nich, ale też w całej polskiej polityce. A przecież w tym kraju był największy w historii ruch społeczny, ale także najbardziej dojrzała w naszym regionie klasa polityczna. Mam na myśli nie tylko ostatnie młode pokolenie postPZPR-owskie, z takimi osobami jak Włodzimierz Cimoszewicz, Aleksander Kwaśniewski, Leszek Miller czy Józef Oleksy, ale przede wszystkim – mówił o tym wcześniej János Kis – obdarzoną silną legitymacją nową klasą polityczną, która często miała swoje korzenie w 1956 roku. Jacek Kuroń czy Karol Modzelewski działali od tamtego czasu. Oni i wielu innych zdołali zgromadzić duże doświadczenie polityczne.

Dzisiaj mamy partie polityczne, w których życie wewnętrzne praktycznie nie istnieje, a o wszystkim decyduje wąskie grono. Jednocześnie – paradoksalnie – można dostrzec proces demokratyzacji. Są to politycy, którzy liczą się z opinią publiczną. Oczywiście nie ma polityki demokratycznej pomijającej jej głos, jednak obecni przywódcy partyjni zbyt często robią to w oportunistyczny sposób, nie biorąc pod uwagę perspektyw i wyzwań stojących przed państwem. Harold McMillan mówił, że przywódca nie może o pół kilometra wyprzedzać swoich wyborców ani iść razem z nimi. Powinien ich o metr wyprzedzać. Polityk powinien prowadzić, a nie oglądać się wyłącznie na sondaże.

Rok 2005 to w Polsce apogeum populizmu. Trzeba dostrzegać dramatyczną stronę tego fenomenu, która ujawniła się szczególnie w czasie rządów Prawa i Sprawiedliwości, ale także łagodniejszą, również demokratyczną. Nie można się dziwić, że w kraju o niskim poziomie wzajemnego zaufania oraz zaufania w stosunku do klasy politycznej i rządzących scena

polityczna została całkowicie zdominowana przez formacje o charakterze populistycznym.

Innym elementem owej reakcji na koszty transformacji oraz wstąpienia do Unii Europejskiej był neonacjonalizm. Jednym z jego przejawów była m.in. kariera polityki historycznej, która w istocie zastąpiła politykę, zwłaszcza politykę zagraniczną, bo za czasów rządów PiS-u niewiele było przecież rzeczywistych przemian.

Ostatnia teza, także paradoksalna i zapewne niewiele osób z nią się zgodzi. Ostatnie rządy – zarówno Prawa i Sprawiedliwości, jak i obecny Platformy Obywatelskiej – były głęboko konserwatywne. To także reakcja na okres transformacji. Rządy PiS-u były radykalne w sferze retorycznej i w budowaniu instytucji represyjnych wobec korupcji oraz ludzi starego ustroju, nierzadko grzesząc przy tym przeciwko duchowi i literze państwa prawa. W sferze realnej – gospodarki czy reformy państwa – rządy te niczego praktycznie nie uczyniły. Rządy Platformy dawały poczucie bezpieczeństwa obywatelom, ale mówienie o reformach traktowane jest jak grzech, występki. Donald Tusk powiedział nawet, że będzie wyrzucał ze swojej partii tych, którzy będą wspominali o niezbędnych kosztach przemian i o cenie, jaką społeczeństwo ma za nie płacić. Nie przypominam tego, by czynić mu zarzut. Ten sposób działania był m.in. także wynikiem reakcji demokratycznej na społeczne zmęczenie czasami transformacji, kiedy w pełni zachowywano i respektowano formy demokratyczne, ale narzucano reformy, przeciwko którym społeczeństwo głosowało w kolejnych wyborach. Wiem, że ten sposób uprawiania polityki w długiej perspektywie jest dla Polski pozytywny. Jednak ówczesna polityka nie brała pod uwagę bieżących, codziennych potrzeb społeczeństwa.

Adam Michnik

Odwołałbym się do wcześniejszego wątku, czyli przyczyn, dla których dwie partie, czyli postPZPR-owskie SLD i postsolidarnościowa Unia Wolności, przeżywają dzisiaj zmierzch. Mówił na ten temat w poprzedniej sesji Aleksander Smolar.



Oczywiście istnieje prawidłowość, że rewolucja zawsze pożera swoich ojców oraz dzieci. Podobnie można powiedzieć o wielkich transformacjach postdyktatorskich. Za klasyczny przykład może posłużyć Rosja. Wszyscy twórcy tamtejszej wielkiej zmiany szybko stali się jej ofiarami. Symboliczną postacią jest Michaił Gorbaczow, w świecie szanowany, we własnym kraju poniewierany i nietolerowany, stał się przedmiotem anegdot i żartów. Unia Demokratyczna, później Unia Wolności, stała się spadkobierczynią nurtu w podziemnej „Solidarności”, który można przyrównać do Résistance we Francji podczas okupacji niemieckiej lub do Partito d’Azione we Włoszech epoki faszyzmu i bezpośrednio po jego upadku. Wszystkie te formacje są identyfikowane negatywnie. Wraz z końcem dyktatury formacja ufundowana na filozofii antydyktatorskiej traciła rację bytu.

Kolejna kwestia to koszty transformacji w Polsce. Mówi się, że była ona niestety brutalna i bolesna. Oczywiście z określonej perspektywy – bankrutujących PGR-ów czy wyższych uczelni lub instytutów naukowo-badawczych, gdzie nagle zabrakło pieniędzy – taka była. Jeżeli jednak spojrzymy na tę transformację poprzez pryzmat innych podobnych doświadczeń historycznych, to okazuje się wyjątkowo łagodna, a jej agresywność wyczerpuje się w werbalnych deklaracjach. Leszek Balcerowicz jest bliski czołowym przedstawicielom „Chicago Boys”, jeśli się pozostaje w sferze retorycznej, ale nie w działaniu. My nie budowaliśmy w Polsce – jak twierdzą niektórzy – kapitalizmu według wzorców Milтона Friedmana.

Zdaję sobie sprawę, że był to trudny proces. Ale jeżeli weźmiemy pod uwagę, że najbardziej brutalnym ekscysem tego czasu jest tzw. masakra pod Mławą, gdzie komuś urwano jeden guzik, to nie przesadzajmy z mówieniem o okrucieństwach. Jednak w Polsce dyskurs populistyczny stał się tak silny,

że Tadeusz Mazowiecki oraz Jacek Kuroń uwierzyli w taką wizję przemian po 1989 roku i zaczęli uprawiać bicie się w piersi.

Iwan Krastew

W wielu krajach naszego regionu – zapewne nie w Polsce – na pytanie: „Czy przystąpienie do NATO oraz Unii Europejskiej było sukcesem?” znacząca większość odpowiada „tak”. Natomiast na pytanie o to, czym zakończyła się transformacja, pada odpowiedź: „porażką”. Taka percepcja nie wiąże się z sukcesami partii populistycznych, lecz jest wyrazem powszechnej niechęci do transformacji. Krytyczny pogląd w tej kwestii jest podzielany nie tylko przez radykałów, lecz panuje wokół niego znacznie szersza zgoda. Przy czym – zgadzam się tu z Aleksandrem Smolarem – wzrost postaw populistycznych nie powinien być traktowany wyłącznie jako negatywny trend. Trzeba zrozumieć przyczyny, także kulturowe, zaistniałej sytuacji.

Zapewne Adam Michnik poczuje się trochę zgorzony, ale obecną sytuację porównałbym z 1968 rokiem na Zachodzie. Widzę wiele podobieństw między tamtymi wydarzeniami a ostatnimi latami. Spróbujmy zatem opowiedzieć o roku 1968 z punktu widzenia niemieckiej klasy politycznej, która od 1945 roku odpowiedzialnie przewodziła krajowi i odnosiła poważne sukcesy: stabilizację ekonomiczną, funkcjonujące instytucje. Jednocześnie w tym wszystkim było coś pustego, fałszywego. Problemem stał się *consensus* moralny. Wiele spraw z czasów rządów Hitlera ukryto, schowano, wyparto ze świadomości, by mogło dojść do tych wszystkich osiągnięć. Nagle wiele osób doszło do wniosku: osiągnęliśmy sukces, dość z tymi ograniczeniami. Pojawiło się też nowe pokolenie. Inni w Niemczech reagowali na ruch 1968 podobnie, jak zaczęto



postrzegać wydarzenia z połowy pierwszej dekady XXI wieku. Wówczas pojawili się politycy populistyczni i zaczęli zdobywać poparcie.

Kolejna kwestia. Uważam, że rok 1989 stworzył wielką iluzję, która, niestety, rozwieje się w najbliższych latach. Mam na myśli przekonanie, że liberalizm konstytucyjny i masowa demokracja łatwo dają się ze sobą pogodzić. W historii kontynentalnej Europy liberalizm nie był komplementarny, lecz stanowił alternatywę dla demokracji. Na przykład francuski liberalizm głoszony przez François Guizot był reakcją lękową na masową politykę. Pamiętamy też o doświadczeniach polityki postweimarskiej. Liberatowie zawsze bali się ludzi wychodzących na ulice, obawiali się tego, co zrobią wyborcy.

Tymczasem w 1989 roku ludzie wychodzą na ulice. Nie ma przemocy. Wykrzykują nawet slogany liberalne! W tym sensie był to koniec historii. Jednak sytuacja się zmienia. Mówimy tu o okresie przejściowym, transformacji, wejściu do Unii Europejskiej, ale nie opowiadamy pełnej historii tego czasu. Spróbujmy spojrzeć na ten proces nie z punktu widzenia wielkiego motoru przemian, lecz zwykłego wyborcy. Co tak bardzo cenimy, wystawiamy w procesie transformacji? Kontynuację kierunku działań podjętych po 1989 roku przez kolejne ekipy dochodzące do władzy, zwłaszcza w polityce gospodarczej. Można tę sytuację porównać do chińskiej restauracji: albo zmienia się menu, albo kelnera. My zmienialiśmy kelnerów. Temu wyborowi częściowo należy przypisać sukces przemian. Jednak w wyniku tej niepisanej umowy w ramach klasy politycznej ludzie uznali, że chociaż głosują i dokonują nawet radykalnych wyborów, to tak naprawdę nic nie potrafią zmienić.

Rebelia, jaka miała miejsce w ostatnich latach, nie wskazuje na poparcie tej czy innej radykalnej opcji. Ludzie próbują pokazać, że mają prawo się mylić, a tego prawa byli pozbawieni w okresie przemian. Obecnie to elity są kwestionowane, a nie kierunki zmian. Dziś bowiem nikt już nie pamięta, na czym polegał kompromis „okrągłego stołu”, ale ludzie mają świadomość, że zawierały go elity. Debata antykorupcyjna także przede wszystkim dotyczy elit.

Ludzie odkryli, że z ich punktu widzenia ostatnie dwie dekady to czas emancypacji elit.

Po pierwsze, z punktu widzenia podatkowego. To są elity *off-shore*-owe. Same decydują o tym, gdzie będą płacić podatki.

Po drugie, zmniejsza się znaczenie państwa narodowego, a także słabnie naturalny nacisk społeczeństwa na własne elity. Te ostatnie zaś stają się bardzo hedonistyczne. Patrzą na resztę społeczeństwa z góry, czasami demonstrowując to w wulgarny sposób, przeciętni obywatele zaś nie mają już tak licznych powodów do zadowolenia. Możemy to nawet obserwować w dobie globalnego kryzysu. Szef Banku Anglii zauważył, że banki są globalne, dopóki żyją, a narodowymi stają się, kiedy zaczynają umierać – to państwo musi je ratować. Elity powinny to rozumieć. Musi nastąpić proces ich nacjonalizacji. Może to być bardzo radykalny proces, bo w czasie ostatnich dwudziestu lat rozdzielono politykę oraz kierunek realnych działań politycznych. W tej chwili mamy nierozważny elektorat oraz przestraszone elity. Ta kombinacja może być trudna.

János Kis

Zgadzam się z wieloma opiniami Iwana Krastewa, ale inaczej ująłbym niektóre kwestie. Przede wszystkim nie sądzę, by podstawowy konflikt przebiegał obecnie na linii: liberalny konstytucjonalizm – demokracja. To może być prawda w odniesieniu do XIX wieku, kiedy odmawiano prawa wyborczego większości mieszkańców krajów z rządami parlamentarnymi, ale nie da się tego odnieść do współczesnych demokracji konstytucyjnych. Pozwala się wybranym przedstawicielom rządzić przez cztery lata, a następnie się ich zwalnia, jeżeli wyborca nie jest z nich zadowolony. Otrzymany w ten sposób mandat demokratyczny, którego nikt nie podważa ani nie kwestionuje, zezwala wybranej władzy na postępowanie zgodnie z własnym uznaniem.



Jednak ten system funkcjonuje pod dwoma warunkami. Po pierwsze, musi istnieć pewne zaufanie wobec moralnej rzetelności przywódców. To konieczne, ponieważ zezwala się im na podejmowanie wiążących decyzji, które wpływają na nasze życie i mają swoje konsekwencje. Po drugie, poczynania wybranej przez nich władzy nie mogą być dla wyborców zbyt kosztowne. Jeżeli za takie zostaną uznane, to elektorat będzie domagał się zmian.

Jeżeli te dwa warunki nie zostają spełnione – przywódcy nie cieszą się zaufaniem, a koszty ponoszone przez społeczeństwo są zbyt wysokie – to pojawia się rozczarowanie elitami, a co za tym idzie, także samą demokracją. To jest naturalna pożywka dla populizmu. Jednak dlaczego to rozczarowanie elitami nie nastąpiło wcześniej? Wiąże się to z innym pytaniem: w jaki sposób po 1989 roku w Europie Środkowej mogły równoległe przebiegać przemiany polityczne i społeczno-gospodarcze? Powiązałbym te kwestie z trzecią: dlaczego to socjaliści i liberałowie padli ofiarą procesu przemian?

Przed 1989 rokiem nie było planu Balcerowicza. On pojawił się wraz z przemianami i całą odpowiedzialność moralną za ciężar poniesiony przez społeczeństwo wzięły na siebie nowe władze. Jednak paradoksalnie, zarówno w Polsce, jak i na Węgrzech, w pierwszym dziesięcioleciu postkomunisty odegrali ogromną rolę stabilizacyjną. Dlaczego? Wspierali reformy, na Węgrzech nawet w większym stopniu niż partie prawicowe. Znaczna część ich tradycyjnego elektoratu bardzo ucierpiała na transformacji. Traktowano zatem partię socjalistyczną jako wiarygodną alternatywę wobec nowej władzy uznawanej za źródło nieszczęść. W ramach ustroju demokratycznego postkomunisty wydawali się siłą, która może wystąpić przeciwko procesowi zmian. Tymczasem oni byli najbardziej żarliwymi zwolennikami reform. Na Węgrzech w latach 1994–1998 ówczesny rząd socjalistyczny skutecznie prowadził taką grę z wyborcami. I gdyby premier Gyula Horn nie postanowił zniszczyć liberałów, z którymi współrządził, to rządząca koalicja utrzymałaby się przy władzy (oczywiście nie mógłby wyrządzić liberałom tak wielkich strat, gdyby SzDSz sam nie podważył swojej uczciwości moralnej, przyzwalając na udział w największych skandalach korupcyjnych tej kadencji parlamentu).

W roku 2002 socjaliści zdecydowali się na inny krok. Postanowili wyjść naprzeciw potrzebom elektoratu. Podwyższyli płace w sektorze publicznym o 50 procent, zdecydowali się dać 13 pensję emerytom itd. W wyniku tych działań państwo utraciło równowagę finansową. Jednak nie zdecydowano się na korektę polityki i w 2006 roku socjaliści ponownie wygrali wybory. Nie było to trudne, bo w ciągu czterech lat podwyższył się poziom życia. Tymczasem trzeba było wprowadzić nową politykę stabilizacji gospodarczej. To wywołało rozczarowanie, a nawet wściekłość wśród tradycyjnego elektoratu, a następnie jego wykruszenie. Socjaliści nie zdołali już odzyskać jego poparcia, a nie zdobyli innego, ponieważ nie byli w stanie przedstawić spójnej i dającej się obronić polityki modernizacji, która mogłaby zyskać poparcie młodych, lepiej wykształconych wyborców. Tak, pokrótce, wygląda historia socjalistów na Węgrzech.

Natomiast liberałowie w roku 2006 popełnili błąd typowy dla akademickiej ekonomii typu chicagowskiego, poza poważnymi, fałszywymi krokami, o których już mówiłem. Postanowili, że czas przeprowadzić reformy gospodarcze, zwłaszcza w służbie zdrowia. Wzięli na siebie odpowiedzialność, licząc na to, że zmuszą socjalistów do opowiedzenia się za ich programem. Owszem, premier skłaniał się do zaakceptowania liberalnych reform systemu opieki zdrowotnej, ale jego partia była nieomal tak bardzo nieugięta w proteście, jak prawicowa opozycja. Sami liberałowie byli wówczas niewielką partią bez poparcia politycznego koniecznego do przeprowadzenia takich reform. W efekcie zostali znacznie osłabieni, a nawet zmarginalizowani. Nie byli bowiem w stanie przełamać tak wielkiego oporu społecznego.

Jacques Rupnik

Dodam jeszcze kilka przypisów do tego, co już powiedziano.

Zapewne w czasach kryzysu dobrze rozpoczynać debatę na temat osiągnięć liberalizmu i reakcji populistycznej. Niemniej nie należy zapominać, że transformacja liberalna była niesamowitym, bezprecedensowym sukcesem, jeżeli chodzi o przeprowadzenie przemian gospodarczych i społecznych w Europie Środkowo-Wschodniej. Udało się rozpocząć proces doganiania Za-

chodu i zwiększyć realne dochody znacznej części społeczeństwa. Oczywiście trzeba także pamiętać o osobach, które straciły na transformacji.

Aleksander Smolar ma rację, mówiąc, że w ostatnich latach mamy do czynienia z opóźnioną reakcją na przemiany, jak również na wstąpienie do Unii Europejskiej. Wcześniej istniało odczucie, że rządy przychodzą i odchodzą, ale wszystkie kierują się jednym priorytetem: spełnieniem warunków wstąpienia do UE. Jednak lekceważenie polityki ma swoją cenę. Polityka wraca ze zdwojoną siłą, podobnie jak znaczenie kwestii społecznych. Populiści odpowiadają na oba problemy. Więcej, dzięki temu mogą przybrać dobrze prezentujący się wizerunek. Jedni przywrócą znaczenie polityce, drudzy zajmą się kwestiami społecznymi. Można zatrzymać się na tej konstatacji. To jednak wiąże się z niedocenianiem zagrożenia (nie wzywam wcale do dramatyzowania). Wraz z falą populizmu mamy bowiem do czynienia z powrotem – jawnym, a czasami ukrywanym – retoryki nacjonalistycznej, nietolerancji oraz kultury politycznej wydobywającej się na powierzchnię po dziesiętkach lat zestania w niebyt. Mogliśmy to obserwować na Węgrzech w 2006 roku, kiedy doszło do skrajnej polaryzacji w społeczeństwie. Było to widoczne w Polsce pod rządami Lecha i Jarosława Kaczyńskich w koalicji z „Samoobroną” i LPR-em. Na Słowacji Robert Fico zawiązał sojusz ze Słowacką Partią Narodową Jána Sloty oraz Partią Ludową – Ruch na rzecz Demokratycznej Słowacji Vladimíra Mečiara. Doszło do tego, że przywódca partii rządzącej mówił do przywódcy mniejszości węgierskiej, że życzy mu biletu na Księżyc w jedną stronę! Tego typu retoryka trafia do dyskursu publicznego. Można powiedzieć, że jest to zdrowy objaw: ot, wypuszczamy trochę pary w gwizdek. Jednak zarazem wyzwala się niebezpieczne siły, siły, które mają własną dynamikę. To może nieść ze sobą nieprzyjemne skutki dla demokracji, jak również dla stosun-



ków między państwami w Europie Środkowo-Wschodniej. Wreszcie, może wpłynąć na Unię Europejską.

Oczywiście można zgodzić się, że oni teraz mogą wreszcie pokazać swoje prawdziwe oblicze. Są w Unii Europejskiej. Czują się bezpiecznie, nie są skrępowani. Wydaje mi się jednak dość optymistyczna teza, że populiści się rozmyją we Wspólnocie czy też że UE będzie potrafiła nad nimi zapanować. Łatwo zapomina się, że populizm kwitnie nie tylko w tej części świata, ale rozwija się również w Europie Zachodniej. Poza tym ten powrót populizmu i nacjonalizmu wpływa na osłabienie samej Unii Europejskiej. Unia może niszczyć czy też powstrzymywać ruchy radykalne, ale równocześnie one powodują erozję projektu europejskiego.

Część 4

O tym, gdzie jesteśmy i kim jesteśmy

Iwan Krastew

Chciałbym spojrzeć na 1989 rok z perspektywy odmiennej niż środkowoeuropejska i zastanowić się, na ile wpłynął on na naszą politykę zagraniczną oraz tożsamość. Pozwolę sobie sformułować kilka nieoczywistych tez.

Skupiamy naszą uwagę na 1989 roku, przyjmując, że ówczesne wydarzenia stały się główną siłą napędową ostatniego dwudziestolecia. Jest to jednocześnie przejaw pewnego prowincjonalizmu. Uważam na przykład, że wojna w dawnej Jugostawii w większej mierze umożliwiła rozszerzenie NATO i Unii Europejskiej niż wydarzenia 1989 roku.



Kiedy odwiedzamy republiki dawnej Jugostawii czy były Związek Radziecki, to z łatwością możemy zauważyć, że to nie koniec komunizmu, lecz rozpad tych państw zawładnął wyobraźnią mieszkających tu narodów. I te doświadczenia kształtują postawy tamtejszych przywódców i obywateli oraz wpływają na politykę zagraniczną nowych teraz państw.

Jedna z różnic zachodzących między Rosją a Unią Europejską wiąże się z odmienną

percepcją wydarzeń sprzed dwudziestu lat. Rosja nie wierzy w postnarodowe formy istnienia politycznego, ponieważ nie może liczyć na członkostwo w NATO ani w Unii Europejskiej. Natomiast przemiany w latach 90. to dla Rosjan czas upokorzenia gospodarczego, społecznego oraz geopolitycznego. Wspomnę bardzo znaczące dla mnie zdarzenie. Jakiś czas temu byłem w Moskwie na promocji książki Anne Applebaum o GUŁagu. Na sali było niewiele osób, przede wszystkim liberałowie. Trudno było ich kojarzyć z Władimirem Putinem i jego kręgiem. Jednak wszyscy byli bardzo zgorzkniali. Na wypowiedzi Anne Applebaum reagowali nerwowo. W pewnym momencie jedna z osób wstała i powiedziała: „Pani książka jest świetna. Zresztą wszystko wiemy o stalinizmie, moja rodzina też była prześladowana. To nie daje jednak Zachodowi moralnego prawa mówienia o tych tematach, bo nie wykazaliście żadnego współczucia dla cierpienia Rosjan w okresie przemian”. Padły też dane liczbowe. W latach 1991–1994 spadek PKB w Rosji był znacznie większy niż w Stanach Zjednoczonych podczas Wielkiego Kryzysu, a długość życia skróciła się o pięć lat. Dlaczego o tym mówię? Sądzę, że nasze doświadczenia minionego dwudziestolecia będą istotne dla kształtowania tożsamości w zakresie polityki zagranicznej naszych krajów, ale również będą wpływały na politykę zagraniczną całej Unii Europejskiej.

Interesujący jest również przypadek byłej Jugostawii. Takie kraje jak Serbia czy Chorwacja, rozpoczynając proces rekonstrukcji państw narodowych, sądziły, że dokonują aktu europeizacji. Ludzie tamtejsi byli przekonani, że federacja pod wodzą komunistów to coś nienaturalnego. Tymczasem usłyszeli – z czym się zresztą zgadzam – iż nie wybierają jakiejś europejskiej drogi, tylko bałkanizację. Stąd w Serbii przekonanie, że nikt ich nie rozumie, nie podziela ich sposobu myślenia ani działania. Nie mówię tylko o Slobodanie Miloševiću i jego kręgu, ale także o całym głównym nurcie serbskiego społeczeństwa, w tym o byłych liberałach. Podobny jest przypadek Chorwacji.

Wspominam o tych wszystkich kwestiach, ponieważ sądzę, że doświadczenie wojny w Jugostawii połączone ze wspomnieniami Europy Zachodniej

o drugiej wojnie światowej ukształtowały sposób funkcjonowania Unii Europejskiej w ostatnich dwóch dekadach, w tym wpłynęły na proces jej rozszerzenia. Pamiętamy przecież, że w 1992 roku nikt nie planował przyjmowania nowych członków, lecz raczej myślał o pogłębieniu integracji w obrębie UE. Dlatego też warto postawić trzy ważne tezy związane z 1989 rokiem.

Po pierwsze, istniało powszechne przeświadczenie, że następuje proces powrotu Europy do centrum historii. Upadł mur berliński, nastąpiło zjednoczenie Europy. Można było odnieść wrażenie, że wszystko, co ważne, rozgrywa się w tym miejscu. Doświadczeniu Europy Środkowej nadano cechy uniwersalne. Demokryzacja tego regionu została uznana za model dla innych.

Do powstania tego przekonania przyczynił się także dyskurs amerykański. Chociażby Paul Wolfowitz w 2003 roku mówił, że demokryzacja Europy Środkowej w latach 90. to część uniwersalnego procesu. Pokazywał także istnienie dwóch rodzajów krajów. Za przykład pierwszych – które radzą sobie same – służyła mu Polska, drugich – które muszą zostać poddane presji – Serbia. Ten rodzaj argumentacji uzasadniał przyszłą interwencję w Iraku.

Uniwersalizacja doświadczenia Europy Środkowej przyczyniła się do powstania mody na nasz region. Jednak ten proces miał też ciemną stronę. Nie skłaniał do podjęcia refleksji na temat doświadczenia całej Europy Środkowo-Wschodniej z naszej własnej perspektywy. Więcej, zakochaliśmy się w wizerunku narodów kochających wolność, idealistycznych itd. utworzonym na przełomie lat 80. i 90. poza naszym regionem. Uważam, że będziemy musieli zdać sobie sprawę z tego, że ten obraz nie do końca odpowiada rzeczywistości. Sondaże opinii publicznej pokazują, że poziom solidarności w społecznościach Europy Środkowo-Wschodniej wobec siebie i innych części świata jest niższy niż w Europie Zachodniej. Zaskakujące jest też przekonanie, że nasza część Europy wpłynie na kształt Unii i uczyni ją bardziej globalnym aktorem.

Po drugie – co uważam także za istotny temat do rozmowy – w 1989 roku uznano, że jedyną możliwością było przyjęcie modelu zachodniego.

Tymczasem okazało się, że zimna wojna była szczytowym punktem westerlizacji. Obydwaj rywale (dzieci oświecenia z prawego lub nieprawego toża) – bloki wschodni i zachodni – którzy kontrolowali kształt światowej debaty, w istocie realizowali zachodni projekt cywilizacyjny. Dzisiaj, wraz z pojawieniem się radykalnego islamu, rok 1989 zaczynamy postrzegać jako początek procesu marginalizacji Europy, a nie wzrostu jej znaczenia.

Po trzecie, mówiąc o znaczeniu 1989 roku, pomijamy istnienie innych dyskursów dotyczących tego roku, np. w obrębie radykalnego islamu. Przełom lat 80. i 90., to jest wojna w Afganistanie, stanowi moment zwrotny. Wedle tej narracji radykalny islam pokonał jedno z imperiów – ZSRR. Teraz przychodzi czas na kolejne: USA.

Wspominam o tych wszystkich kwestiach, ponieważ w rozmaitych dyskusjach – także na temat tożsamości Europy Środkowej – nie powinniśmy traktować doświadczenia 1989 roku jako zjawiska uniwersalnego, lecz raczej uwzględniać specyfikę kulturową naszego regionu. Mówiąc inaczej, nie każda rewolucja demokratyczna na świecie będzie traktowana jako powtórka naszych doświadczeń. Na przykład w ten sposób opisano pomarańczową rewolucję na Ukrainie w 2004 roku. Był to błąd. Kierowała się ona bowiem inną logiką. W przestrzeni poradzieckiej ważniejsze było budowanie państwa niż demokracji. Główny impet tej rewolucji, podobnie jak w Gruzji, skierowano przeciwko siłom postkomunistycznym, nie zaś komunistycznym.

Powinniśmy wreszcie zastanowić się, w jakim stopniu Europa Środkowa pozostanie szczególnym obszarem w Unii Europejskiej. Na ile obecnie zbiorowe działania państw tego regionu wynikają z pragmatycznej kalkulacji, a na ile do współpracy skłaniają dziedzictwo przeszłości i określone tradycje? Jestem dość sceptyczny wobec prób tłumaczenia polityki zagranicznej, ale także wewnętrznej, naszych krajów wyłącznie doświadczeniami wyniesionymi z komunizmu. Szukałbym także innych odpowiedzi na pytanie o różnice między polityką w Europie Środkowej i Zachodniej. Jedną z przyczyn jest obecność w „starej” Unii dużych grup imigrantów, co dziś znacząco wpływa na kształt tamtejszej debaty publicznej. W naszej części Europy mamy zaś

do czynienia przede wszystkim z tradycyjnymi mniejszościami, od dawna już tu osiadłymi.

Na koniec dwa spostrzeżenia, niemające bezpośredniego związku z polityką zagraniczną, ale łączące się z naszą dyskusją. W Bułgarii przeprowadzono badania opinii publicznej. Chodziło o odpowiedź na pytanie, dlaczego dziesięć lat znaczącego rozwoju gospodarczego nie doprowadziło do wzrostu optymizmu społecznego. Sami obywatele dostrzegają, że rośnie gospodarka, a im żyje się lepiej. Mimo to dominują nastroje pesymistyczne. Respondenci w tym badaniu powiedzieli dla mnie coś nowego. Istotną okazuje się bowiem kwestia sposobu postrzegania. Z sondażu wynika, że pojęcie rozwoju ukształtowały doświadczenia lat 60. i 70. Wtedy to rozwój został utożsamiony z uprzemysłowieniem. Obecnie rozwój związany jest z sektorem usług. Ludzie nie widzieli nowych zakładów, więc nie uwierzyli w sam wzrost lub nie są z niego dumni.

Drugie spostrzeżenie ma związek z rozwarstwieniem społeczeństwa. W badaniach okazało się, że ludzie są bardziej krytyczni wobec korupcji w okresie postkomunistycznym niż wcześniejszej, w czasie komunizmu. Oczywiście wszyscy wiedzieli, że był to skorumpowany system. Jednak „przymykali na to oczy”. Inaczej reagują na korupcję w czasach postkomunistycznych. Sondaże wykazują, że według nich korupcja komunistyczna była procesem przechwytywania władzy silnych przez bezsilnych, w postkomunistycznej zaś potężni przejmują władzę od słabszych. Korupcja zatem jest uznawana za pewien przywilej.

Jeżeli zatem staramy się zrozumieć społeczeństwo Rosji, Ukrainy czy byłych republik jugosłowiańskich, to konieczna jest ostrożność i nie powinniśmy naszego doświadczenia bezpośrednio przekładać na te kraje. Nie uda się bowiem wyłącznie na jego podstawie ustalić prawdopodobnego przebiegu wydarzeń w innym miejscu. Co więcej, ostatnie dwudziestolecie ukształtowało określony kształt przywództwa w tych krajach, i to doświadczenie może być ważniejsze niż deklarowane przez tamtejszych przywódców wartości, a nawet bardziej niż interesy, do których tak bardzo są przywiązani nasi polityczni realiści.

Jacques Rupnik

Zgadzam się z tezą, że rok 1989 otwiera nową erę. Europa – chyba po raz ostatni – znalazła się w centrum świata, ale też rozpoczął się proces jej globalnej marginalizacji, który przybiera coraz bardziej drastyczne formy.

Jeżeli wrócimy do tej części Europy, to jej tożsamość zmieniła się z zachodnich peryferiów Wschodu na wschodnie peryferia Zachodu. To było istotne *novum*. Z tym procesem łączyło się przekonanie o konieczności porzucenia dawniej przypisywanych im tożsamości. Dominowało myślenie: skoro zaczynamy być częścią Zachodu, to musimy odrzucić stare etykiety. Kiedy mówiono: jesteście demokracjami ludowymi Europy Wschodniej, podała odpowiedź: nie, jesteśmy Europą Środkową. Nasza tożsamość jest odmienna od reszty bloku wschodniego. Jednak po 1989 roku także od niej zaczęto się dystansować. Określenie się jako „Europa Środkowa” mogło bowiem odróżniać kraje tego regionu od Zachodu, a one uważały się za jego część.

Europa Środkowa chciała być prawdziwie zachodnia. A gdzie tego „prawdziwego Zachodu” szukać? Uznano, że w... Stanach Zjednoczonych. Należy zatem iść w tym kierunku. Zaczęto identyfikować się z samym sercem Zachodu, czyli z potęgą amerykańską. Skutkami tego myślenia były m.in. zaangażowanie się Środkowoeuropejczyków w konflikt iracki oraz podział,

jaki nastąpił między starą Europą a Stanami Zjednoczonymi i krajami nowej Europy.

Według mnie było to nowe i interesujące zjawisko. Do tego czasu przez lata główny spór w Europie Środkowej dotyczył tego, kto jest podstawowym wrogiem: Niemcy czy Rosja. Wybór opcji politycznej zależał w znacznej mierze od odpowiedzi na to pytanie. W Polsce dobrym przykładem jest spór między Józefem Piłsudskim a Romanem Dmowskim. Podstawową linię sporu



w Czechach połowy XIX wieku wyznaczał wybór między opcją niemiecką a wschodnią. Część polityków uznała: nie chcemy ani autokracji ze Wschodu, ani demokracji w wydaniu niemieckim. Wybieramy zatem opcję austriacką, czyli model środkowoeuropejski.

Po 1989 roku zaszła fundamentalna zmiana wzorca tożsamości. Pojawiła się konfrontacja między Ameryką a Europą. Przy czym – to nowy element – w Stanach Zjednoczonych w ostatnim czasie doszło do znaczących redefinicji tamtejszej polityki. To z kolei wywołało kryzys tożsamości u tych, którzy definiowali świat zachodni w kategoriach amerykańskiej mocarstwowości. Podam tylko jeden przykład. Barack Obama wykonuje specjalny gest i w kwietniu 2009 roku przyjeżdża do Pragi, przewodzącej wówczas Unii Europejskiej. Trzy dni wcześniej premier Mirek Topolánek wygłasza przemówienie, w którym oskarża prezydenta Stanów Zjednoczonych o nieodpowiedzialną politykę finansową, a nawet gorzej: że wybrał drogę do piekła. Mówi to człowiek, który jeszcze niedawno w jednym z wywiadów ogłosił, że nie potrafi wyobrazić sobie polityki zagranicznej swojego kraju odmiennej od tej, jaką prowadzi USA.

Iwan Krastew

To istotne spostrzeżenie. Rzeczywiście, Europa zaczyna wierzyć, że obecna polityka Stanów Zjednoczonych staje się coraz mniej europejska. Przykładem jest wizyta Baracka Obamy w Moskwie w lipcu 2009 roku. Można już zauważyć, że amerykańska administracja próbuje rozmawiać z Rosją jako siłą globalną.

Podstawowym źródłem identyfikacji Europy Środkowej ze Stanami Zjednoczonymi było przekonanie, że one nie pozwolą Rosji na powrót do dawnej strefy postsowieckiej. Obecnie USA mówi: to jest problem Unii Europejskiej. Nas nie interesuje Rosja jako siła regionalna. To wy musicie się z tym zmierzyć. Naszym problemem jest Rosja jako siła globalna: problem broni nuklearnej, Iranu *etc.*

W tej sytuacji wszystkie nasze kraje powinny przemyśleć swoją politykę wobec Unii Europejskiej. Trzeba – po raz pierwszy – zadać pytania:

„Jakiego rodzaju polityki oczekujemy w tym regionie?”, „Co jest możliwe do zrobienia, co zaś jest wykluczone?”. Nie można już zakładać, że Stany Zjednoczone będą wspierały bardziej radykalne głosy antyrosyjskie w ramach Unii Europejskiej.

Adam Michnik

Myszę, że na naszych oczach dochodzi do znaczącej zmiany, także w Polsce. Pokolenie III RP odniosło wielki sukces. I wyczerpało swój potencjał. Bohaterowie są zmęczeni. Obecnie klasa polityczna – w całej zresztą Europie – porzuciła wielkie idee. W naszych krajach nie ma też nowych postaci na miarę Václava Havla ani nowych ruchów społecznych na miarę „Solidarności”. W tym szczególnym momencie pojawia się Barack Obama, który radykalnie zmienia wizerunek Stanów Zjednoczonych w świecie. I co się dzieje? W polskim parlamencie polityk najważniejszej partii opozycyjnej wygłasza deklarację, że zwycięstwo Obamy jest końcem cywilizacji białego człowieka! Co to oznacza? Do centrum polityki wkroczył język barbarzyństwa. Moim zdaniem to ogromne zagrożenie.

Kolejnym jest deficyt, a nawet kryzys demokracji. Ma on dwie twarze: Władimira Putina i Silvio Berlusconi. Putynizm i berlusconizm to dwa strukturalne zagrożenia dla porządku demokratycznego w naszej części



Europy. Z jednej strony, mamy do czynienia z systemem autorytarnym przy zachowanej fasadzie demokratycznej. Przybiera on bardzo różne twarze: Jarosława Kaczyńskiego z jego retoryką antykomunistyczną lub Aleksandra Łukaszenki z jego retoryką populistyczną. Może mieć twarz prezydenta Rumunii Traiana Băsescu lub Władimira Voronina, byłego prezydenta Mołdawii. Wszystkich ich łączą wizja państwa oraz styl myślenia o nim. Z drugiej strony, mamy

Berlusconiego z niebezpiecznym pomieszaniem biznesu, mediów i władzy politycznej.

Wreszcie istotnym zagrożeniem są Chiny, które proponują odmienny model modernizacji niż przyjęty przez świat zachodni. Sukces odniesiony przez ten kraj daje istotny argument rosyjskim, ukraińskim czy polskim politykom. Kuszący jest model, w którym nie ma kłopotów ani z opozycją, ani z mediami. Już teraz widać, że niektórzy w naszym regionie podobnie postrzegają władzę demokratyczną. Przypomnę tylko pomysły premiera Słowacji Roberta Fico w sprawie mediów.

Aleksander Smolar często podkreśla, że w Polsce polityka historyczna zastąpiła politykę. Zgadzam się z tą opinią, ale ta polityka jest elementem sporu o tożsamość. W polskim dyskursie prawicowym dominuje myślenie: ci, którzy nie chcą ujawniać prawdy np. o Lechu Wałęsie jako agencie, chcą zarazem głosić jako prawdę kłamliwe oskarżenia naszego narodu, np. o antysemityzm w Jedwabnem itd. Można dobrze pokazać, jakiemu ukształtowaniu świadomości zbiorowej tak prowadzona polityka historyczna miałyby służyć.

Nie można dziedzictwem komunizmu tłumaczyć wszystkich obecnych kłopotów w regionie. Jednak poprzedni system pozostawił nam w spadku to, co ks. Józef Tischner nazywał – może niezbyt ściśle – mentalnością *homo sovieticus*. Ona z jednej strony objawia się hasłami antykomunistycznymi, z drugiej – nostalgią za komunizmem czy populizmem. To mentalność polegająca na przeświadczeniu o wyłączości własnej prawdy oraz o tym, że adwersarzy można jedynie zniszczyć. Moim zdaniem jest to groźba nowej postaci społeczeństwa antydemokratycznego, antyliberalnego, nietolerancyjnego i budującego nowy rodzaj wykluczeń.

Aleksander Smolar

Chciałbym powrócić do kwestii poruszonej przez Iwana Krastewa. Uważam, że szczególnie ważna jest kwestia postrzegania naszego miejsca w świecie. To bardzo poważny problem nie tylko w wymiarze zewnętrznym, ale również wewnętrznym. Chociażby podczas kolejnych obchodów roczni-



cowych w Polsce stały jest wątek: nie doceniają nas, a przecież to tu zaczął się upadek komunizmu. Chwilami pretensja ta nabiera charakteru groteski, ale przede wszystkim pokazuje niezrozumienie procesów historycznych. Jednak trzeba także powiedzieć, że wizja, w której upadek muru berlińskiego stanowi centrum ówczesnych wydarzeń, spychając w cień wszystko, co się działo przedtem i potem, jest obierana u nas jako krzywdząca. Uwa-

ża się, że nie docenia się polskiego wkładu w rozmontowywanie systemu komunistycznego. W tym przeświadczeniu jest zresztą wiele prawdy. Dlaczego zatem użyłem określenia „groteskowe”? Ponieważ powtarzając te żale czy pretensje, w ogóle nie uwzględnia się mapy świata, tego, w jakim kontekście rozgrywały się ówczesne wydarzenia. Mur berliński zajął centralne miejsce w pamięci i obchodach europejskich i światowych dlatego, że bardziej on niż polskie przemiany symbolizował obalenie podziału świata na dwa bloki.

Nie zgadzam się z tezą, że w 1989 roku rozpoczął się upadek Europy. Można raczej powiedzieć, że ten upadek zaczął się o wiele wcześniej, w czasach drugiej wojny światowej, a może nawet pierwszej. Od tej chwili Europa systematycznie traci na znaczeniu politycznym. Zajęcie części kontynentu przez ZSRR oraz dekolonizacja ten proces dramatycznie pogłębiły.

Przez pewien czas można było sądzić, że wydarzenia 1989 roku oznaczały powrót Europy na mapę świata. W okresie zimnej wojny Europa Zachodnia była uzależniona pod wieloma względami od Stanów Zjednoczonych. Po 1989 roku wyemancypowała się. Stała się dla wielu regionów świata prawdziwym wzorem cywilizowanego rozwiązywania konfliktów. Nie muszę przypominać o licznych książkach, także autorów amerykańskich, którzy pisali, że nowe stulecie będzie wiekiem Europy, jej

dominacji, przynajmniej w sferze wartości, narzucania zasad europejskich, m.in. sposobu układania stosunków międzynarodowych, transparentności, wyboru negocjacji w miejsce siły.

Oczywiście dziś świat zmienia się bardzo radykalnie. Szybko pojawiły się liczne teorie. Niektórzy głoszą koniec panowania Stanów Zjednoczonych lub przynajmniej relatywny spadek ich znaczenia wraz z powstaniem nowych mocarstwowych Chin i Indii. Wedle niektórych to Chiny będą dominującym mocarstwem XXI wieku, ale z kolei modny dziś geopolityk amerykański George Friedman ogłosił tezę, że to Japonia, a nie Chiny, jest mocarstwem przyszłości. Wiek XXI – mówi – będzie należał do sfery Pacyfiku. *Nota bene* twierdzi zarazem, iż przy pomocy Stanów Zjednoczonych także Polska stanie się imperium. Inaczej mówiąc, żyjemy obecnie w świecie ogromnej niepewności.

W oczach licznych pozaeuropejskich obserwatorów Europa jako podmiot międzynarodowy dziś nie istnieje. Oczywiście widzą poszczególne kraje, ale jako jeden byt Unia politycznie nie funkcjonuje. Proces integracji widzą raczej jako przekształcanie się Europy w rodzaj wielkiej Szwajcarii, miłej, przyjemnej wspólnoty, pozbawionej znaczenia w skali globalnej. Ten brak obecności Europy dobrze widać, kiedy czyta się wpływowe amerykańskie gazety, jak „New York Times” czy „Washington Post”.

Powinniśmy uświadomić sobie, co taka perspektywa oznacza dla krajów naszego regionu, w tym dla Polski. Jest to także istotny problem dla przyszłości całej Europy. Nadal dla wielu krajów perspektywa akcesji jest atrakcyjna, ale widać też bardzo silne tendencje odśrodkowe, nacjonalistyczne, dodatkowo wzmocnione sytuacją kryzysu. Zmienia się cała geopolityka i tym samym trzeba spróbować odpowiedzieć na dramatyczne pytanie: sądziliśmy, że uwolniliśmy się od statusu państwa peryferyjnego, zbliżyliśmy się do metropolii świata zachodniego, ale czy nie grozi nam ponowne odnalezienie się na peryferii całkowicie przekształconego świata? W tej właśnie perspektywie należałoby dyskutować i myśleć o polskiej i regionalnej polityce zagranicznej, o naszej przyszłości.

Część 5

O tym, na ile się zmieniliśmy

János Kis

Myśląc o 1989 roku, trzeba się odnieść do dwóch kwestii.

Po pierwsze, było oczywiste, że nadejdzie wielka zmiana. Jednak rzeczą niewiadomą było, w jaki sposób do niej dojdzie. Odpowiedzią na to pytanie był w Polsce „okrągły stół”. Na Węgrzech i w innych krajach doszło do podobnych porozumień. Wyjątkiem od tej reguły, jak dobrze wiemy, była jedynie Rumunia. Nie zapominajmy także o skrajnej niepewności panującej w tamtym czasie. Nikt przecież nie wiedział, dokąd poprowadzi rozpoczęty proces przemian. Nawet jeżeli dziś możemy mówić, że ówczesna sytuacja została mocno zdeterminowana różnymi czynnikami wewnętrznymi i zewnętrznymi, a tym samym wynik zmian już na samym początku był przesądzony, to osoby podejmujące negocjacje nie posiadały takiej wiedzy. Z ich subiektywnego punktu widzenia znalazły się w skrajnie ryzykownej sytuacji. W tych okolicznościach model „okrągłego stołu” okazał się doskonałym sposobem zapanowania nad ryzykiem i groźbą raptownego załamania systemu, które miałyby



o wiele tragiczniejsze skutki społeczno-gospodarcze czy polityczne niż sama transformacja. Nie jestem zresztą przekonany, że ten właśnie model negocjowanego przejścia z systemu totalitarnego do demokracji nie zachował swej aktualności. Był on przecież pomocny np. we wprowadzaniu w życie przemian w Republice Południowej Afryki.

Po drugie, już podczas wprowadzania przemian dyskutowano, czy przyjęty model jest odpowiedni dla Europy Wschodniej. Spierano się, czy kraje tego regionu mają jedynie naśladować lub imitować zachodni system wraz z ogromem problemów, jakie niosą ze sobą kapitalizm i wielopartyjna demokracja (z tych wszystkich niedostatków zdawano sobie sprawę). Wiedzano, jak trudno państwom poradzić sobie ze skutkami nagłego wzrostu gospodarczego, jego wpływu na środowisko, na relacje społeczne i tworzenie nowych nierówności, wreszcie istniała wiedza o tym, że problemem może być utrzymanie wzrostu na dłuższy czas. Z tego powodu niektórzy, np. Charles Taylor, negatywnie oceniali wybory dokonywane przez kraje naszego regionu, podkreślając, że to naśladownictwo czegoś, co nie jest warte tak wielkiego wysiłku. Jednak w Europie Wschodniej dość powszechnie uważano: „Byliśmy już obiektem eksperymentów. Teraz chcemy wprowadzać rozwiązania działające w innych krajach. Wybieramy kapitalizm i demokrację wielopartyjną”. Obecnie, w obliczu największego kryzysu gospodarki kapitalistycznej od lat 30. ubiegłego stulecia, można oczywiście zadać pytanie, czy obraliśmy dobry kierunek. Czy obecne problemy nie są skutkiem wyborów dokonanych w 1989 roku? Należy też postawić pytanie: czy była jakaś inna możliwa do zrealizowania, alternatywna droga?

Moim zdaniem być może w przyszłości wypracujemy inny model, jednak instrumentarium intelektualne, jakim obecnie dysponujemy, nie pozwala na myślenie w kategoriach radykalnych alternatyw w stosunku do naszego wyboru w 1989 roku. Przy czym nie chcę wchodzić w rolę mienszewika i mówić: dziś kapitalizm, w przyszłości komunizm. Nie mam opracowanego jakiegoś modelu gospodarki postkapitalistycznej. Pozostaje jednak istotne pytanie o model demokracji i kapitalizmu przyjęty przez nasze kraje po przelomie. Oczywiście nie istnieje jeden wzór wielopartyjnej demokracji

ani jeden wzór kapitalistycznej gospodarki wolnorynkowej. Funkcjonują rozmaite modele, różniące się od siebie. Stąd też padają pytania, dlaczego np. w Polsce wprowadzono model chicagowski, a nie szwedzki socjalno-demokratyczny. I dlaczego w ogóle ten model obowiązuje w Europie Środkowo-Wschodniej. Możemy oczywiście dyskutować, czy rzeczywiście w Polsce wzorcowo wprowadzono zalecenia „Chicago Boys”, czy też kraje bałtyckie oraz Słowacja, z podatkiem liniowym, są bliższe temu modelowi gospodarki. Nie to jednak wydaje mi się istotne. Węgry w każdym przypadku znacznie się różniły. Według mnie podobnie było z Czechami. Niezależnie od tego, która wersja kapitalizmu została przyjęta w poszczególnych krajach, musiały one zmierzyć się z podobnym problemem i znalazły się w podobnym miejscu. Wszystkie bowiem, w ostatecznym rozrachunku, realizowały określoną strategię. Stało się tak, ponieważ kraje naszego regionu dysponowały w punkcie startu relatywnie słabo rozwiniętymi gospodarkami. Dlatego też w ciągu ostatnich dwóch dekad jako główny czynnik wzrostu wykorzystywały inwestycje zagraniczne. W sytuacji kryzysowej obcy kapitał zaczął uciekać z naszych rynków finansowych.

Warto zatem przypomnieć hasło głośne u początków transformacji: trzecia droga. O niej wówczas dość często mówiono, ale też szybko tę możliwość odrzucono. Na Węgrzech modne stało się powiedzenie: trzecia droga prowadzi do Trzeciego Świata. Podkreślano, że eksperymenty z gospodarką niekapitalistyczną sprawiają, iż łąduje się na peryferiach. Obecnie – w dobie kryzysu – pojawia się pytanie, czy i tak tam właśnie nie trafiliśmy. Odpowiedź – biorąc pod uwagę określone kryteria – brzmi „tak”. Strukturalnie wszystkie kraje regionu można zaliczyć do grupy, o której ekonomiści mówią, że jej rozwój jest uzależniony albo jest to rozwój w zależności. W tym rozumieniu uprawnione jest używanie terminów „centrum” i „peryferia”.

Oczywiście w tym przypadku oba terminy trzeba definiować inaczej, niż to robią Aleksander Smolar i Iwan Krastew. Nie chodzi mi o proces peryferyzacji Europy, która obecnie nie dysponuje odpowiednią potęgą i jako całość traci na znaczeniu w polityce międzynarodowej. Co oczywiście nie oznacza, że Unia Europejska gospodarczo znajduje się na obrzeżach świata.

Wręcz przeciwnie. Jednak kraje naszego regionu są uzależnione od Europy Zachodniej. Nie wyzwoliliśmy się z prowincjonalnego statusu. Przy czym nie należy zapominać, że w 1989 roku nie staliśmy przed wyborem: uzależniony rozwój w ramach Europy czy budowa regionu zdolnego wygenerować niezależny, samodzielny wzrost. Wybór był inny: peryferia Europy czy zmierzanie w kierunku Trzeciego Świata. Czy zatem istnieje dziś droga pozwalająca na wyjście z peryferyjności i zajęcie bardziej centralnego stanowiska w Europie? Jestem w tej kwestii umiarkowanym optymistą. Uważam, że warto poważnie potraktować taką możliwość, nawet jeżeli szanse są niewielkie. Przecież już odnieśliśmy sukces, mimo że jego prawdopodobieństwo było tak niewielkie, i uruchomiliśmy ważne procesy, które znacząco zmieniły ten fragment świata.

Komentarze i uwagi

Andrzej Walicki

Bardzo dobrze rozumiem przyczyny powstania tzw. nowego ewolucjonizmu po roku 1968. Pokolenie Adama Michnika zasadnie rozczarowało się siłami reformatorskimi w partii komunistycznej. Niemniej uważam, że posunęło się ono zbyt daleko w swej negacji. Nie bagatelizowałbym osiągnięć tzw. starego ewolucjonizmu, który zakładał, że w partii jest i musi być miejsce dla pragmatyzmu oraz że istnieje możliwość przemiany systemu od wewnątrz. Więcej, sądzę, że ten właśnie ewolucjonizm nie poniósł totalnej klęski, a tak przecież często się twierdzi.

Dlaczego tak uważam?

Po pierwsze, bez istnienia tej siły nie doszłoby do obrad „okrągłego stołu”.

Po drugie, nie można zakładać, że w PZPR po 1956 roku, czyli w sytuacji posttotalitarnej, zabrakło sił reformatorskich. Na ten temat pisałem już w książce *Marksizm i skok do królestwa wolności* i tylko bardzo skrótowo wymienię argumenty za moją tezą. Podstawowa to: ideologiczny projekt ustroju komunistycznego nie był już realizowalny. Świadomość tego miały elity rządzące. W tym czasie zostały one pozbawione ideologicznego wsparcia i nie wierzyły już w zrealizowanie komunistycznej utopii. Jeśli zaś miały zdrowy rozsądek oraz – co przecież nie jest nadmiernie ryzykownym założeniem – nie wszyscy wśród tych elit byli żądnymi władzy łajdakami, którzy chcą się utrzymać przy władzy za cenę przelewu krwi, to nie można zakładać braku sił w partii gotowych do uznania nadrzędności interesu narodowego i podporządkowania mu swoich partykularnych interesów.

Adam Michnik słusznie podkreślił, że nowy ewolucjonizm zerwał ze złudzeniami rewizjonistów, ale to zerwanie było zbyt radykalne. Przedstawiciele pokolenia 1968 roku uznali, że system może się zmieniać jedynie pod wpływem presji zewnętrznej. Oznaczało to odejście od filozofii porozumienia, negocjacji i kompromisu. Nie było to oczywiście intencją Adama Michnika, ale tak wyglądała praktyka polityki nowego ewolucjonizmu, która opierała się na ahistorycznej, moralistycznej odmowie legitymizacji

nawet geopolitycznej Polski Ludowej. Antypeerelizmu używano niczym pałki do bicia, jednocześnie mobilizując w skali masowej bardzo prymitywny antykomunizm i nie przewidując, że może on posiadać własną dynamikę. To właśnie ten ruch doprowadził później do zaprzeczenia osiągnięciom Polski demokratycznej oraz zanegował sens negocjacji „okrągłego stołu”. Wydarzenia ostatnich lat są – według mnie – także jednym ze skutków, niezamierzonych oczywiście, nowego ewolucjonizmu.

Zbigniew Pełczyński

W rozważaniach o drodze dojścia do 1989 roku zabrało mi innej, może trochę szerszej perspektywy historycznej. Oczywiście nikt nie kwestionuje tego, że to nad Wisłą rozpoczął się końcowy etap demontażu komunizmu. Polacy słusznie są z tego dumni. Jednak nie można twierdzić, że cały system udało się rozmontować w ciągu dwóch lat! Przecież ten system trwał w Związku Radzieckim przez siedemdziesiąt lat, a w Europie Środkowej przez czterdzieści.

Na początku 1956 roku Carl J. Friedrich i Zbigniew Brzeziński napisali pracę *Totalitarian Dictatorship and Autocracy*¹, gdzie pokazując zazębienia mechanizmów gospodarczych, wojskowych, policyjnych, partyjnych itd. – uznali, że jest to system, który nie potrafi sam się zmienić. Trzeba jednak pamiętać o kontekście, w jakim powstawała ta książka: dominowała ideologia zimnej wojny, a wraz z nią panowało przekonanie, iż tylko atak z zewnątrz – podobnie jak w przypadku obalenia nazizmu – pozwoli na zmiany w bloku wschodnim.

Co się okazuje? Otrzymuję książkę do recenzji, a w tym samym czasie rozpoczynają się wydarzenia węgierskie, zaczyna się polski Październik. Już widać, że zniewolone społeczeństwa potrafią w różny sposób przeciwstawić się systemowi. Teza postawiona przez Friedricha i Brzezińskiego okazała się fałszywa.

Moim zdaniem demontaż komunizmu odbył się w trzech fazach. Inaczej mówiąc, było to pełne, trzyaktowe przedstawienie, a nie jakaś jednoaktówka. Pierwsza to październik 1956 roku: plenum KC PZPR, dojście do władzy Władysława Gomułki. Komuniści rezygnują z części władzy: powstają Kluby Inteligencji Katolickiej, ponownie zaczyna



¹ Carl J. Friedrich, Zbigniew K. Brzeziński, *Totalitarian Dictatorship and Autocracy*, Cambridge 1956.

wychodzić prawdziwy „Tygodnik Powszechny”. Następuje ideologiczny wyłom w partii komunistycznej, a sam marksizm schodzi na dalszy plan. Istotnym punktem jest właśnie zawarte porozumienie między Gomułką a kardynałem Stefanem Wyszyńskim. Kościół w zamian za pewne koncesje zgadza się poprzeć wybory w styczniu 1957 roku. Partia bowiem boi się, że ludzie je zbojkotują, co może grozić destabilizacją w kraju. Kościół zatem pomógł załagodzić sytuację, ale też stał się trzecią siłą polityczną w Polsce.

Drugim etapem była oczywiście „Solidarność”, a dopiero trzecim stały się wydarzenia 1988–1990 roku.

Janusz Reykowski

Chciałbym powiedzieć kilka słów o przeszłości. Skupię się na jedynie na trzech wątkach.

Po pierwsze, chciałbym spojrzeć na „okrągły stół” oraz na opozycję z perspektywy strony, która historycznie przegrała. Należy oczywiście pamiętać, że ona – obojętnie, jak ją nazwiemy: rządowa, partyjna czy komunistyczna – nie stanowiła monolitu. To był dość zróżnicowany obóz. Wielu z nas – mówię o części formacji, do której sam należałem – miała skłonność do patrzenia na opozycjonistów, także w okresie „okrągłego stołu”, jako na lekkomyślnych marzycieli. Naszym zdaniem mieli oni dobre intencje oraz przyświecały im szlachetne idee, ale pójsie ich śladem mogło sprowadzić na kraj wielkie nieszczęście. Dla mnie zaskakującym doświadczeniem podczas obrad stolika politycznego było przyglądanie się wystąpieniom Adama Michnika. Jego uważałem za szczególnego marzyciela, a nagle zobaczyłem analityka politycznego, trzeźwo spoglądającego na rzeczywistość. Warto zatem pamiętać, że ówczesne podziały nie były tak jednoznaczne. Dziś rysowany jest dość prosty obraz: z jednej strony znajdują się bojownicy o demokrację i wolność, z drugiej – twardy reżim, niszczący wszelkie swobody.

Po drugie, mieliśmy poczucie, że zmiana, która Polskę czekała, była wielką niewiadomą. Użyję może niezbyt zręcznego przykładu. W jednej z dzieciennych gier uczestnicy puszcza ją w ruch kulkę, która wpada do rozmaitych przegródek. O wszystkim decyduje przypadek. Miałem podobne odczucie: oto ruszamy Polską, która ma wpaść w przegródkę kapitalizmu. Ale gdzie się znajdzie? Pod nazwą „Szwajcaria”, „Francja”, „Meksyk”, a może „Chile”? Tego nie było wiadomo. Dlatego uważaliśmy, że należy zachować wielką ostrożność i działać solidarnie. Muszą to robić wspólnie strona rządowa i dotychczasowa opozycja. Inaczej możemy wylądować w złym miejscu.

Po trzecie, Aleksander Smolar mówił o swoim oczekiwaniu na wielką paradę zwycięstwa, na symboliczny gest podkreślający dokonany przelot. To wydarzenie – jego zdaniem – mogłoby ochronić wielkie zmiany i zapewnić im poparcie społeczne. Od listopada 1989 roku pilnie obserwowałem kolejne

badania opinii publicznej. Zaintrygowało mnie wówczas jedno zjawisko. Z miesiąca na miesiąc pogarszały się sytuacja społeczno-ekonomiczna oraz nastroje społeczne, ale sondaże pokazywały, jak wysoko utrzymuje się zaufanie do władzy. Ten stan trwał mniej więcej do maja 1990 roku, do czasu „wojny na górze”. Wraz z nią zawalił się społeczny *consensus*. Gdyby udało się utrzymać autorytet reformatorów jako ludzi wspólnie idących jedną drogą w ściśle wyznaczonym celu, to pozwoliłoby dalej chronić zmiany. Niekoniecznie trzeba było stawiać szubienice, by legitymizować przemiany.

Stanisław Ciosek

Chciałbym spróbować odpowiedzieć na pytanie: czym my, strona rządowa, kierowaliśmy się w 1989 roku? Spojrzeć na to z dystansem, bez kreowania mitów o świętym Jerzym (opozycji) walczącym ze smokiem (PZPR-em). Powodowała nami, przynajmniej mną i moim otoczeniem, świadomość, że dotychczasowy system jest coraz mniej sprawny oraz coraz gorzej odpowiada na wyzwania współczesności. Nie gwarantuje już szybkiego rozwoju Polski, wręcz przeciwnie, cofa ją w stosunku do reszty świata. Wydarzenia 4 czerwca nie były „wypadkiem przy pracy”, przypadkowym pozbawieniem władzy tych, którzy przyrosli do foteli. Proszę nie odmawiać nam racji wyższego rzędu.

Pamiętam, jak podczas obrad w Pałacu Namiestnikowskim Adam Michnik mówił o nas – żartobliwie – „czerwone pająki”. Na to odpowiadałem: „Panie Redaktorze, tu nie ma ani jednego pająka! Czy ja i inni możemy nimi być, skoro już much nie łapiemy? Przecież gdybyśmy nimi byli, to wy – opozycja – nie siedzielibyście tu, w Pałacu Namiestnikowskim, tylko dawno zostalibyście pożarci. Więcej, teraz to wy łapiecie muchy!”. To jedynie wymiana żartów, ale w nich kryta się prawda. System już nie funkcjonował. To jedna sprawa.

Po drugie: pamiętam swoją rozmowę z Aleksandrem Jakowlewem przed opuszczeniem przeze mnie placówki dyplomatycznej w Moskwie w 1996 roku. Zadałem wtedy pytanie: „Dlaczego zdecydowaliście się rozpocząć *pierestrojkę* i w konsekwencji oddać władzę? Przecież kontrolowaliście armię i milicję, posiadaliście tak wiele surowców: ropę, gaz... To była ogromna siła”. Zdumiała mnie odpowiedź Jakowlewa. „Przez dziesięć lat – mówił – byłem ambasadorem ZSRR w Kanadzie. Tamtejszy imperializm – do dziś



pamiętam jego słowa – nie był tak okrutny jak amerykański. Lepsze były relacje między ludźmi, pojedynczy człowiek miał więcej do powiedzenia. To nie był dziki kapitalizm, jak w Ameryce”. I dodawał: „Widziałem, jak tam wszystko dobrze funkcjonuje, a u nas takie nieszczęście”. To była jego motywacja do podejmowania zmian.

Agnieszka Grzybek

Odnoszę wrażenie, że może zbyt łatwo pomijamy problem wyboru modelu kapitalizmu, jaki został przyjęty w Polsce po 1989 roku. Przecież wiadomo, że nie istnieje jeden wzorzec, lecz rozmaite wersje: skandynawski, niemiecki, brytyjski czy amerykański. Czy naprawdę musieliśmy implementować kapitalizm *à la* chłopcy z Chicago i wprowadzać go pod sztandarami Milтона Friedmana?

Kolejna sprawa to granice kompromisu i cena, jaką zapłacono za poparcie przemian. Moim zdaniem była ona zbyt wysoka: zrezygnowaliśmy z praw kobiet, jednocześnie umacniając wpływy Kościoła katolickiego w sferze publicznej. Dziś ponosimy konsekwencje ówczesnych wyborów. Podobna sytuacja po 1989 roku była na Węgrzech. Tamtejszy Kościół także podjął walkę o ograniczenie prawa do aborcji. Jednak węgierscy dysydenci zachowali się inaczej niż ich polscy koledzy. János Kis chociażby napisał świetną książkę o aborcji¹. Nasi albo nabrali wody w usta, albo stanęli po stronie Kościoła katolickiego, uznając, że to jest cena, którą warto zapłacić za zawiązany wówczas kompromis wokół przemian politycznych i ekonomicznych.

¹ János Kis, *Aborcja: argumenty za i przeciw*, przeł. Szczepan Woronowicz, Warszawa 1993.

Agnieszka Holland

Odnoszę wrażenie – podobnie jak Agnieszka Grzybek – że problem transformacji i jej kosztów nie został należycie podjęty. Warto zastanowić się bowiem, jakie grupy społeczne trwale straciły na przemianach.

Często mówi się w tym kontekście o wielkoprzemysłowej klasie robotniczej, która niejednokrotnie straciła nie tylko swoje warsztaty pracy, ale przede wszystkim dotychczasowy status społeczny, poczucie ważności i przydatności. Na pewno podobnie swoją sytuację odbiera generacja związana z establishmentem PRL-u, a może nawet szerzej, z projektem PRL-u. Oni często weszli w transformację w wieku postemerytalnym i nagle zaczęli uświadamiać sobie, że ich biografia nic nie jest warta. Projekt ich życia został nie tylko zakwestionowany, ale wręcz unieważniony przez następne pokolenie.

Wśród tych, którzy stracili, na pewno są straszliwie spauperyzowani pracownicy byłych PGR-ów, ale także znaczna część inteligencji, również twórczej. Chodzi nie tylko o możliwość uprawiania swojej twórczości, ale przede wszystkim o poczucie wartości. Znacząco zmieniły się kryteria tego, co ważne społecznie. Na tym procesie zyskali politycy i media, a nawet w nowej Polsce cieszą się znaczeniem nieprzystającym do ich rzeczywistych wartości intelektualnych i moralnych.

Wśród ofiar transformacji są wreszcie kobiety.

I jedna uwaga, niekoniecznie na marginesie. W Polsce bardzo alergicznie reaguje się na wszelkie uwagi na temat ich sytuacji, zwłaszcza jeżeli wypowiedzi te są sformułowane z perspektywy feministycznej. Co ciekawe, w ten sposób reagują nie tylko mężczyźni, ale także wiele kobiet. Nie chcę analizować przyczyn takiej sytuacji: ani biograficznych,



ani charakterologicznych. Jednak zastanawia, dlaczego liczne kobiety, które tak wiele osiągnęły w życiu, jednocześnie w życiu społecznym niechętnie występują na pierwszym planie. „Projekt na siebie” realizują niejako za plecami mężczyzn, często akceptując ich rolę *frontmanów*. Tak było w opozycji, w działalności podziemnej, i podobnie dzieje się po 1989 roku.

Te same kobiety sukcesu już na wstępie deklarują: „Nie jestem feministką”. „Feminizm” to dla nich podejrzana definicja, coś na kształt nieco wstydliwego zбочenia. W ogóle w Polsce nie rozumie się feminizmu i uważa się go za projekt skrajnie radykalny. Oczywiście dziś to powoli się zmienia, także dzięki kilku mężczyznom, np. Wiktorowi Osiatyńskiemu.

Dlaczego o tym wszystkim mówię? Ponieważ taka perspektywa – wykluczająca inne spojrzenia, np. feministyczne – prowadzi do swoistego autyzmu poznawczego, także w patrzeniu na przemiany po 1989 roku. Sprowadza się je jedynie do kwestii *stricte* politycznych, w rozumieniu politycznej, partyjnej lub ideologicznej gry różnych panów; inne sprawy czy perspektywy w ogóle nie są brane pod uwagę. Za dobry przykład mogą posłużyć wypowiedzi Adama Michnika w tej dyskusji. Słuchałam ich ze smutkiem. Odniosłam wrażenie, że stał się on niewolnikiem obrony swojego życia. Większość jego wywodu sprowadzała się do konserwatywnej obrony zwycięskiego projektu, który w dużej mierze był jego dziełem. Gdyby został – przynajmniej na chwilę – feministą, to jestem przekonana, że dostrzegłby zupełnie nowe regiony rzeczywistości.

W Polsce zarówno w wymiarze prawnym, jak i w sferze praktyki znacząca część życia publicznego została oddana w ręce Kościoła katolickiego i polityków, którzy go reprezentują. To Kościół definiuje sferę wartości i wpływa na status kobiety w Polsce. Mam na myśli nie tylko kształt prawa aborcyjnego, ale także otwieranie coraz nowszych możliwości ingerencji ustawodawstwa w podstawowe wybory życiowe kobiet, jak w przypadku zapłodnienia *in vitro*. W Polsce doszło do uznania za oczywiste tego, że kobieta jest przede wszystkim inkubatorem i musi w tej sferze postępować według zasad podyktowanych przez Kościół katolicki. Więcej, tę sytuację uznaje się za rodzaj społecznego kompromisu. Tymczasem to jedynie wynik targów politycznych z początku okresu przemian.

Noty biograficzne

János Kis (ur. 1943) – filozof i publicysta. Wykładowca Uniwersytetu Środkowoeuropejskiego (CEU) w Budapeszcie. W latach 1967–1973 pracownik Instytutu Filozofii Węgierskiej Akademii Nauk, zwolniony za krytykę marksizmu-leninizmu. Działacz opozycji demokratycznej. W 1981 roku współzałożyciel i redaktor naczelny niezależnego pisma „Beszélő”. W 1988 roku współzałożyciel i w latach 1990–1991 szef liberalnego Związku Wolnych Demokratów. Po wycofaniu się z polityki powrócił do pracy w Węgierskiej Akademii Nauk. Wydał m.in. *Towards an East European Marxism* (z Györgym Bencem, London 1978), *A szovjet típusú társadalom marxista szemmel* (z Györgym Bencem, Paris 1983), *Vannak-e emberi jogaink?* (Budapest 1985), *L'Égale Dignité: essai sur les fondements des droits de l'homme* (Paris 1989), *Politics in Hungary: For a Democratic Alternative* (New Jersey 1989), *Az állam semlegessége* (Budapest 1997), *A politika mint erkölcsi probléma* (Budapest 2004).

Iwan Krastew (ur. 1965) – politolog i analityk spraw międzynarodowych. Przewodniczący Centrum na rzecz Strategii Liberalnych w Sofii. Wykładowca na Uniwersytecie Środkowoeuropejskim (CEU) w Budapeszcie i w Instytucie Remarque'a na Uniwersytecie Nowojorskim. Redaktor naczelny bułgarskiego wydania „Foreign Policy”. Członek zarządu European Council on Foreign Relations w Londynie. Zajmuje się przede wszystkim zagadnieniami

związanymi z sytuacją społeczeństw postkomunistycznych. Wydał m.in. *Nationalism after Communism. Lessons learned* (red., z Aliną Mungiu-Pippidi, Budapest, New York 2004), *Shifting Obsessions. Three Essays on the Politics of Anticorruption* (Budapest, New York 2004), *The anti-American Century* (red., z Alanem McPhersonem, Budapest, New York 2007).

Adam Michnik (ur. 1946) – historyk, publicysta. Redaktor naczelny „Gazety Wyborczej”. Jeden z głównych organizatorów opozycji demokratycznej w PRL-u. Uczestnik protestów studenckich w 1968 roku. Aresztowany i skazany na trzy lata więzienia. Współtwórca Komitetu Obrony Robotników w 1976 roku. Działacz Komitetu Samoobrony Społecznej KOR, współzałożyciel Towarzystwa Kursów Naukowych. Redaktor m.in. „Krytyki”. Działacz „Solidarności”. W latach 1980–1981 doradca Regionu Mazowsze NSZZ „Solidarność”. W stanie wojennym internowany, a następnie aresztowany. Skazany na trzy lata więzienia. Członek Komitetu Obywatelskiego. Uczestnik obrad „okrągłego stołu”. W latach 1989–1991 poseł na Sejm. Wydał m.in. *Kościół, lewica, dialog* (Paryż 1977), *Niezlomny z Londynu i inne eseje (lektury więzienne)* (Warszawa 1984), *Szanse polskiej demokracji. Artykuły i eseje* (Londyn 1984), *Takie czasy... Rzecz o kompromisie* (Londyn 1985), *Z dziejów honoru w Polsce. Wypisy więzienne* (Paryż 1985), *Polskie pytania* (Paryż 1987), *Diabeł naszego czasu. Publicystyka z lat 1985–1994* (Warszawa 1995), *Między Panem a Plebanem* (z Józefem Tischnerem i Jackiem Żakowskim, Kraków 1995), *Wyznania nawróconego dysydenta. Spotkania z ludźmi. Szkice 1991–2001* (Warszawa 2003), *Wściekłość i wstyd* (Warszawa 2005), *W poszukiwaniu utraconego sensu* (Warszawa 2007), *Wśród mądrych ludzi* (Warszawa 2009).

Jacques Rupnik (ur. 1950) – politolog i historyk. Dyrektor naukowy paryskiego Centrum Studiów i Badań Międzynarodowych (CERI). Od 1982 roku profesor w paryskim Instytucie Studiów Politycznych. W latach 1995–1996 dyrektor Międzynarodowej Komisji ds. Bałkanów w Carnegie Endowment for International Peace. Od 1999 do 2000 roku członek Niezależnej Międzynarodowej Komisji ds. Kosowa. W latach 1977–1982 współpracował z BBC

World Service. Od 1990 do 1992 roku doradca prezydenta Václava Havla. Specjalizuje się w problematyce Europy Środkowej i Wschodniej. Wydał m.in. *Histoire du parti communiste tchécoslovaque* (Paris 1981), *The Other Europe* (London 1988), *Le nouveau continent* (z Dominique’iem Moïsi, Paris 1991), *L’autre Europe, crise et fin du communisme* (Paris 1993), *Le déchirement des nations* (red., Paris 1995), *Le printemps tchécoslovaque. 1968* (red., Bruxelles 1999), *International Perspectives on the Balkans* (red., Clemensport 2003), *The Road to the European Union. The Czech and Slovak Republics* (red., z Janem Zielonką, Manchester 2003), *Balkan Diary* (Pristina 2004), *Les Européens face à l’élargissement. Perceptions, acteurs, enjeux* (Paris 2004), *L’Europe des Vingt-Cinq. 25 cartes pour un jeu complexe* (z Christianem Lequesne, Paris 2004), *Les banlieues de l’Europe. Les politiques de voisinage de l’union européenne* (red., Paris 2007), *Příliš brzy unavená demokracie. Rozhovor s Karlem Hvízďalou* (Praha 2009).

Aleksander Smolar (ur. 1940) – politolog, publicysta, prezes Zarządu Fundacji im. Stefana Batorego. Zastępca przewodniczącego Rady Naukowej Instytutu Nauk o Człowieku w Wiedniu. W latach 1971–1989 na emigracji politycznej. W 1974 roku współzałożyciel i redaktor naczelny kwartalnika politycznego „Aneks”. W latach 1989–1990 doradca ds. politycznych premiera Tadeusza Mazowieckiego. Od 1992 do 1993 roku doradca ds. polityki zagranicznej premier Hanny Suchockiej. Opublikował m.in. *Le rôle des groupes d’opposition la veille de la démocratisation en Pologne et en Hongrie* (red., z Pierrem Kende, Wien 1989), *La Grande Secousse. l’Europe de l’Est 1989–1990* (red., z Pierrem Kende, Paris 1991), *Globalization, Power and Democracy* (red., z Markiem Plattnerem, Baltimore 2000), *Entre Kant et Kosovo* (red., z Anne-Marie Le Gloannec, Paris 2003).

Oraz

Stanisław Ciosek (ur. 1939) – polityk i dyplomata. W latach 1969–1973 przewodniczący Rady Naczelnej Zrzeszenia Studentów Polskich. Od 1971

do 1980 roku zastępca członka KC PZPR. Od 1975 roku I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Jeleniej Górze. W latach 1980–1985 minister do spraw związków zawodowych, w 1983–1984 także minister pracy, płac i spraw socjalnych. Od 1986 do 1989 roku członek Biura Politycznego KC PZPR. W latach 1972–1985 poseł na Sejm PRL. Uczestnik obrad „okrągłego stołu”. W latach 1989–1996 ambasador RP w ZSRR, a następnie w Rosji. Doradca do spraw międzynarodowych prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego.

Agnieszka Grzybek (ur. 1970) – działaczka feministyczna, tłumaczka i redaktorka. Koordynatorka programu Demokracja płci/Polityka kobiet w Fundacji im. Heinricha Bölla. Od 1997 roku pracowniczka, a w latach 2002–2005 dyrektorka Ośrodka Informacji Środowisk Kobięcych OŚKa. Współzałożycielka i członkini Porozumienia Kobiet 8 Marca. Członkini zespołu „Krytyki Politycznej”. W latach 2002–2005 członkini Rady Programowo-Konsultacyjnej przy Pełnomocniczce Rządu ds. Równego Statusu Kobiet i Mężczyzn oraz Komitetu Monitorującego Inicjatywę Wspólnotową EQUAL. W latach 2004–2005 członkini Rady European Women’s Lobby. Od 2008 do 2010 roku współprzewodnicząca partii Zielonych. Wydała *Polityka a płęć* (red., z Joanną Piotrowską, Warszawa 2005).

Agnieszka Holland (ur. 1948) – reżyserka filmowa i teatralna, scenarzystka. W latach 1972–1981 członkini Zespołu Realizatorów Filmowych „X” kierowanego przez Andrzeja Wajdę. Od 1981 roku pracuje za granicą. Członkini Europejskiej Akademii Filmowej. Od roku 2008 prezydent Polskiej Akademii Filmowej. Autorka m.in. filmów: *Aktorzy prowincjonalni* (1978 – nagroda FIPRESCI), *Gorączka* (1980), *Kobieta samotna* (1981), *Gorzkie żniwa* (1985 – nominacja do Oscara), *Zabić księdza* (1988), *Europa, Europa* (1990 – nominacja do Oscara), *Olivier, Olivier* (1991), *Tajemniczy ogród* (1993), *Całkowite zaćmienie* (1995), *Plac Waszyngtona* (1997), *Trzeci cud* (1999), *Strzał w serce* (2001), *Julia wraca do domu* (2001), *Kopia mistrza* (2006), *Janosik. Prawdziwa historia* (z Kasią Adamik, 2009) oraz serialu telewizyjnego *Ekipa* (2007).

Scenarzystka filmów Andrzeja Wajdy *Danton* (1982) i *Korczak* (1990). Przetłumaczyła *Nieznośną lekkość bytu* Milana Kundery (1984).

Zbigniew Petczyński (ur. 1925) – politolog i filozof polityki, prof. Założyciel i prezes Zarządu Stowarzyszenia Szkoła Liderów. Członek Rady Fundacji im. Stefana Batorego. Żołnierz Armii Krajowej. Uczestnik Powstania Warszawskiego. Po wojnie zamieszkał w Wielkiej Brytanii. Wieloletni wykładowca na Uniwersytecie Oksfordzkim. W latach 90. m.in. doradca Komisji Konstytucyjnej Sejmu RP oraz konsultant EWG i OECD ds. programów reformy władz państwowych i administracji publicznej w Polsce. Przewodniczący Stefan Batory Trust w Oksfordzie oraz członek Rady Powierniczej Polonia Aid Foundation Trust w Londynie. Wydał m.in. *Hegel's Political Philosophy – Problems and Perspectives* (Cambridge 1971), *Poland, the Road from Communism* (Oxford 1982), *Conceptions of Liberty in Political Philosophy* (red., z Johnem Grayem, New York 1984), *Wolność, państwo, społeczeństwo. Hegel a problemy współczesnej filozofii politycznej* (Wrocław 1998), *Polska droga od komunizmu. Refleksje nad historią i polityką 1956–2006* (Warszawa 2007).

Janusz Reykowski (ur. 1929) – psycholog społeczny, prof. dr hab., absolwent Uniwersytetu Warszawskiego. W latach 1951–1980 pracownik Uniwersytetu Warszawskiego. Od 1980 do 2002 roku dyrektor Instytutu Psychologii PAN. Od 1996 roku przewodniczący Rady Programowej w Szkole Wyższej Psychologii Społecznej. Członek-korespondent Polskiej Akademii Nauk. Od 2003 roku prezydent Międzynarodowego Towarzystwa Psychologii Politycznej (International Society of Political Psychology). Członek Polskiego Towarzystwa Psychologicznego i Polskiego Stowarzyszenia Psychologii Społecznej. Uczestnik obrad „okrągłego stołu” – współprzewodniczący stołu politycznego ds. reform politycznych. W latach 1988–1990 członek Biura Politycznego KC PZPR. Wydał m.in. *Funkcjonowanie osobowości w warunkach stresu psychologicznego* (Warszawa 1966), *Eksperymentalna psychologia emocji* (Warszawa 1968), *Z zagadnień psychologii motywacji* (Warszawa 1970), *Teoria motywacji a zarządzanie* (Warszawa 1975), *Moty-*

wacja, postawy prospołeczne a osobowość (Warszawa 1979), *Logika walki, szkice z psychologii konfliktu społecznego w Polsce* (Warszawa 1984), *Postawy i wartości Polaków a zmiany systemowe* (red., Warszawa 1993), *Potoczne wyobrażenia o demokracji. Psychologiczne uwarunkowania i konsekwencje* (red., Warszawa 1995), *Dylematy współczesnej cywilizacji a natura człowieka* (red., z Tadeuszem Bielickim, Poznań 1997).

Andrzej Walicki (ur. 1930) – historyk idei, prof. dr hab. Członek rzeczywisty PAN. Emerytowany profesor Instytutu Filozofii i Socjologii PAN. W latach 1986–1999 wykładowca University of Notre Dame, Indiana. Zajmuje się dziejami myśli polskiej i rosyjskiej oraz historią marksizmu. Wydał m.in. *Filozofia a mesjanizm. Studia z dziejów filozofii i myśli społeczno-religijnej romantyzmu polskiego* (Warszawa 1970), *A History of Russian Thought from the Enlightenment to Marxism* (Stanford 1979), *Philosophy and Romantic Nationalism. The Case of Poland* (Oxford, New York 1982, II wyd. Notre Dame, Indiana 1994), *Między filozofią, religią i polityką. Studia o myśli polskiej epoki romantyzmu* (Warszawa 1983), *Polska, Rosja, marksizm. Studia z dziejów marksizmu i jego recepcji* (Warszawa 1983), *Spotkania z Miłoszem* (Londyn 1985), *Legal Philosophies of Russian Liberalism* (Oxford, New York 1987, II wyd. Notre Dame, Indiana 1992, przekł. pol. 1995), *The Controversy over Capitalism. Studies in the Social Philosophy of the Russian Populists* (Notre Dame, Indiana 1989), *Zniewolony umysł po latach* (Warszawa 1993), *Marxism and the Leap to the Kingdom of Freedom. The Rise and Fall of the Communist Utopia* (Stanford 1995, przekł. pol. 1996), *Polskie zmagania z wolnością widziane z boku* (Kraków 2000), *Idea wolności u myślicieli rosyjskich. Studia z lat 1955–1959* (Kraków 2000), *Rosja, katolicyzm i sprawa polska* (Warszawa 2002), *Zarys myśli rosyjskiej. Od oświecenia do renesansu religijno-filozoficznego* (Kraków 2005), *Mesjanizm Adama Mickiewicza w perspektywie porównawczej* (Warszawa 2006), *O inteligencji, liberalizmach i o Rosji* (Kraków 2007), *Filozofia polskiego romantyzmu* (Kraków 2009), *Naród, nacjonalizm, patriotyzm* (Kraków 2009), *Idee i ludzie. Próba autobiografii* (Warszawa 2010).

Indeks nazwisk

Adamik Kasia 100
Applebaum Anne 66

Baczyński Jerzy 51
Balcerowicz Leszek 15, 35, 54, 58
Băseșcu Traian, prezydent 72
Benc György 97
Berlusconi Silvio 72–73
Bielecki Jan Krzysztof 44
Bielicki Tadeusz 102
Brzeziński Zbigniew 87
Burke Edmund 15

Čalfa Marián 26
Černý David 9
Cimoszewicz Włodzimierz 52
Ciosek Stanisław 99

Danton Georges Jacques 101
Dienstbier Jiří 34
Dmowski Roman 70
Dobri Dobricz, gen. 21
Dubček Alexander 25

Dzielski Mirosław 44

Fico Robert 60, 73
Friedman George 75
Friedman Milton 54, 93
Friedrich Carl J. 87

Geremek Bronisław 17, 23
Gomułka Władysław 87–88
Gorbaczow Michaił Siergiejewicz,
prezydent 14, 20–21, 26, 54
Gray John 101
Grzybek Agnieszka 94, 100
Guizot François 56
Gyurcsány Ferenc 46

Haider Jörg 50
Hankiss Elemér 36
Havel Václav, prezydent 8, 25–27,
42–43, 72, 99
Hegel Georg Wilhelm Friedrich 101
Hertz Paweł 28
Hitler Adolf 55

- Holland Agnieszka 100
Horn Gyula 29, 58
Hvížďala Karel 99
- Jan Paweł II, papież 28
Jakowlew Aleksandr Nikołajewicz 91
Jankowska Hanna 35
Jaruzelski Wojciech, gen. 16, 24, 28
- Kaczyński Jarosław 18, 38, 50, 60, 72
Kaczyński Lech, prezydent 18, 38, 60
Kafka Franz 25
Kende Pierre (Péter) 99
Kis János 8, 26, 30, 34, 52, 93, 97
Klaus Václav, prezydent 27, 35, 43
Kohl Helmut 16
Kolarska-Bobińska Lena 42
Kołakowski Leszek 13
Korczak Janusz (właśc. Henryk Goldszmit) 101
Krstew Iwan 8, 44, 57, 73, 81, 97
Kundera Milan 101
Kuroń Jacek 13, 17, 23, 28, 35, 39, 44–45, 52, 55
Kwaśniewski Aleksander, prezydent 52, 100
- Le Gloannec Anne-Marie 99
Lenin Włodzimierz (właśc. Władimir Iljicz Uljanow) 20, 45
Lequesne Christian 99
Lewandowski Janusz 44
- Łuczywo Helena 44
- Łukaszenka Alaksandr, prezydent 72
- Macierewicz Antoni 13
Mazowiecki Tadeusz 15, 17, 22–23, 28, 44, 55, 99
McMillan Harold 52
McPherson Alan 98
Mečiar Vladimír 60
Medgyessy Péter 29, 46
Michnik Adam 8, 17, 23, 25–26, 34, 38–39, 51, 55, 85, 89, 91, 95, 98
Mickiewicz Adam 102
Miller Leszek 41, 50, 52
Milošević Slobodan, prezydent 66
Miłosz Czesław 102
Mitterand François, prezydent 16
Modzelewski Karol 52
Moisi Dominique 99
Mungiu-Pippidi Alina 98
- Obama Barack, prezydent 71–72
Oleksy Józef 52
Orbán Viktor 19
Osiatyński Jerzy 23
Osiatyński Wiktor 95
Ost David 35
- Palouš Martin 34–35
Paradowska Janina 51
Pętczyński Zbigniew 101
Piasecki Bolesław 28
Piłsudski Józef 70
Piotrowska Joanna 100
Plattner Mark 99

- Putin Władimir Władimirowicz, prezydent 66, 72
 Putnam Robert D. 37

 Radek Karol 33, 36
 Rakowski Mieczysław 16
 Reykowski Janusz 101
 Rupnik Jacques 8, 22, 29, 98
 Rywin Lew 41

 Schwarzenberg Karel 37–38
 Sekuła Ireneusz 16
 Slota Ján 60
 Smolar Aleksander 22, 28, 43, 53, 55, 60, 73, 81, 89, 99
 Stalin Józef (właśc. Iosif Wissarionowicz Dżugaszwili) 27
 Suchocka Hanna 99
 Syryjczyk Tadeusz 44

 Taylor Charles 80
 Tejero Molina Antonio 25

 Thatcher Margaret Hilda 16
 Tischner Józef, ks. 73, 98
 Topolánek Mirek 71
 Tusk Donald 44, 51, 53

 Urban Jan 34

 Voronin Vladimir, prezydent 72

 Wajda Andrzej 101
 Walicki Andrzej 102
 Wałęsa Lech, prezydent 17–18, 73
 Wasilewska Wanda 28
 Wolfowitz Paul 67
 Woronowicz Szczepan 93
 Wyszyński Stefan, kardynał 88

 Zielonka Jan 99

 Żakowski Jacek 98
 Żiwkow Todor 20–21

Fundacja im. Stefana Batorego wydała m.in.:

Jaka Polska? Czyja Polska? Diagnozy i dyskusje (2006); publikacja poświęcona zmianom politycznym, jakie zaszły w 2005 roku – poczynając od kampanii wyborczej, po powstanie pierwszego rządu Prawa i Sprawiedliwości, oraz pierwszemu okresowi – najpierw samodzielnych, a potem koalicyjnych – rządów PiS-u. W tomie znalazły się wystąpienia m.in.: Henryka Domańskiego, Dariusza Gawina, Mirosławy Grabowskiej, Jerzego Hausnera, Antoniego Kamińskiego, Jacka Kochanowicza, Zdzisława Krasnodębskiego, Jacka Kurczewskiego, Ryszarda Legutki, Janusza Lewandowskiego, Bronisława Łagowskiego, Karola Modzelewskiego, Mirosławy Marody, Janusza Reykowskiego, Jacka Rostowskiego, Andrzeja Rycharda, Aleksandra Smolara, Sławomira Sierakowskiego, Jerzego Szackiego, Piotra Winczorka, Artura Wołka i Jacka Żakowskiego.

Polska Tuska (2008); publikacja poświęcona pierwszemu okresowi rządów Donalda Tuska. Jest próbą odpowiedzi na pytania: Jakie cele realizuje ten rząd? Jakie przedstawia wizje przyszłości i przeszłości? Jakie wnioski wyciągnął z różnych etapów rozwoju kraju w latach 1989–2007? Na jakie interesy społeczne i grupowe odpowiada? Czy rządy Platformy Obywatelskiej są czasem stabilizacji czy zmiany, reform czy konserwacji istniejącego stanu? Czy po latach skrajnej ideologizacji naszej polityki nastął czas antypolityki, demobilizacji społecznej i politycznej? Jakie jest miejsce populizmu w polskiej polityce? W tomie znalazły się teksty Dariusza Gawina, Sławomira Sierakowskiego i Aleksandra Smolara oraz zapis dyskusji zorganizowanej przez Fundację im. Stefana Batorego.

Partie i zmiany granic polityki (2009); publikacja poświęcona polskiej scenie politycznej – prawicy, lewicy i centrum. Jest próbą opisu jej stanu – zarówno instytucjonalnego, jak i przede wszystkim programowego – w sytuacji rozmywania się tradycyjnych tożsamości politycznych oraz zmian pola polityki i zakresu ingerencji państwa w takie sfery, jak gospodarka, redystrybucja środków, ale także kultura, obyczaje, życie prywatne czy normy moralne. W tomie znalazły się teksty: Andrzeja Celińskiego, Marka A. Cichockiego, Ludwika Dorna, Leny Kolarskiej-Bobińskiej, Zdzisława Krasnodębskiego, Roberta Krasowskiego, Ireneusza Krzemińskiego, Janusza A. Majcherka, Rafała Matyi, Andrzeja Mencwela, Janusza Reykowskiego, Aleksandra Smolara, Jerzego Szackiego, Pawła Śpiewaka i Jacka Żakowskiego.